ODEJŚCIE POETY
Zbigniew Jerzyna str. 6

Z czym do widza?
Mirosław Derecki str. 3

MANHATTAN MYSŁOWSKIEGO
str. 8—9

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 18 I 1981 NR 2 (722) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY PL ISSN 0137-7108 CENA 3 ZŁ

OBOWIĄZEK DOTRZYMYWANIA UMÓW

Roman Tokarczyk

K. Janiszewska

HISTORIA lubi się powtarzać. Takie wrażenie może nasuwać w 1980 roku w Polsce lektura znakomitej „Historii starożytnego Rzymu", pióra radzieckiego uczonego N. A. Maszkina. Autor ten plastycznie odmalował walkę, jaka toczyła się pomiędzy patrycjuszami i plebejuszami w republice rzymskiej od VI do III w.p.n.e. Patrycjusze i plebejusze, ciemięzcy i uciemiężeni, pozostając w stałym do siebie przeciwieństwie, prowadzili nieustannie to ukrytą, to jawną ze sobą walkę. Plebejusze, walcząc o poprawę warunków bytowych i demokratyzację ustroju politycznego, odmówili w końcu posłuszeństwa władzom. Zmuszone do rokowań władze porównywały bunt plebejuszy do odmowy dostarczania żołądkowi pożywienia przez poszczególne członki ciała. Wychudłe do ostateczności członki patrycjuszy zmusiły ich do ustępstw i zawarcia ugody społecznej spisanej następnie w „Ustawie dwunastu tablic".

Z opisu tego płynie nauka o konieczności dotrzymywania umów wpisanych w ustrojowe kształty i treści. Najpełniejszym jednakże wyrazem obowiązku dotrzymywania umów pozostaje myśl holenderskiego prawnika Hugo Grocjusza (1583—1645). Holandia i Europa jego czasów rozdzierane były licznymi i krwawymi walkami fanatyków religijnych i przeciążonych ambicjami politycznymi władców. Formułując oryginalną koncepcję umowy społecznej, Grocjusz dążył nie tylko do przerzucenia ideowych pomostów nad trudnymi do zgłębienia przepaściami konfliktów zbrojnych, ale i do zbudowania mocnych podstaw dla pokojowego obrotu handlowego wstępującej na scenę dziejową burżuazji. Za źródło, istotę i najgłębszy sens umowy społecznej uznawał on popęd społeczny (appetitus societatis) człowieka. Popęd ten przedstawiał jako naturalne dążenie człowieka do łączenia się z innymi ludźmi celem rozumnego i zgodnego współżycia społecznego i międzynarodowego.

Prawno-politycznym wyrazem popędu społecznego człowieka, według Grocjusza, jest obowiązek dotrzymania umów (pacta sunt servanda). Obowiązek ten odniesiony do dziejów ludzkości pozwalał wyróżnić stan przedpaństwowy, poprzedzający zawarcie umowy społecznej i stan państwowy, w którym pojawiły się nieznane wcześniej instytucje prawno-polityczne. W tym pierwszym stanie ludzie nie znali własności prywatnej, a wszystko należało do wszystkich. Każdy czerpał z dóbr przyrody tyle, ile potrafił i ile mu było potrzebne do życia. Rozwój rolnictwa i pasterstwa doprowadził do narodzin własności prywatnej i namiętnych sporów o jej podział. Okoliczności te ukazywały umowę społeczną jako niemal nieuchronną konieczność.

Wahadła wyroków historycznych sprawiły, że także polska umowa społeczna 1980 stała się w zaistniałej sytuacji nieuchronną koniecznością. Jej współautorzy, w odróżnieniu od Grocjusza, nie podkreślali już społecznej natury człowieka. W realiach myśli społecznej XX wieku prawda ta jest tak upowszechniona, że aż zbanalizowana. To, co podkreślili współautorzy polskiej umowy społecznej, polega na przekonaniu, że w dziejach narodowych nie powinno być takich konfliktów, których nie można by rozwiązać bez przelewania bratniej krwi. Rozwiązanie niezwykle ostrego konfliktu na drodze porozumienia było doniosłym wydarzeniem historycznym, być może otwierającym nową epokę w dziejach socjalistycznego państwa polskiego. Zawarty w porozumieniach kompromis otwiera nowe perspektywy przebudowy polskiej demokracji socjalistycznej na warunkach pełniejszego współuczestnictwa społeczeństwa we współzarządzaniu krajem.

Dokończenie na str. 4—5

Stopniowanie w dół

Zygmunt Mikulski

OŻYWIENIE w środowisku literackim z powodu XXI Zjazdu ZLP — a piszę te słowa przed Zjazdem — tym gorzej świadczy o literaturze. O jej związku ze społecznością czytającą, o staraniach mających zmierzać do umocnienia tego związku ze strony ludzi pióra. Czym bowiem jest zjazd? Niezależnie od tła politycznych wydarzeń, które skulminowały w drugiej połowie ubiegłego roku, z reguły jest wydarzeniem tylko organizacyjnym. Choćby przypadkowo na którymś zgrupowaniu pisarzy doszło do dyskusji rewolucjonizujących. Bo jeśli takichże dyskusji rezultat nie trafia na stronice wydawanych powieści, cała rzecz zostaje w aurze techniczno-administracyjnej, co najwyżej dając sposobność do miłych pogwarek kuluarowych. A zatem mieć złudzenie, że wzorem gwiazdy betlejemskiej nad Domem Nauczyciela w Warszawie, miejscem Zjazdu, zaświeciła gwiazda przewodnia nowego okresu współczesnej literatury polskiej, to przeceniać organizację, to potwierdzić przekonanie o niedowładzie literatury, która w przeciwparalitycznej kuracji musi liczyć na elektryczne wstrząsy.

Co mam do zarzucenia współczesnej literaturze? Utratę związku z życiem? Dobry Boże, to musiałbym ze swej domowej biblioteczki wymieść wszystko, co ma coś wspólnego z parnasizmem, symbolizmem,

Dokończenie na str. 7

Edukacja po naszemu

Waldemar Piasecki

JUREK miał kaca, bo wczoraj trochę przedobrzył. Ratował się kawą. Magda przeglądała kasety. Karin chodziła po pokoju, paląc papierosa. Józef poszedł po „Mirindę" do lodówki.

Czekali na mnie wczoraj, ale się nie doczekali. Kiedy dotarłem w końcu na Jelonki, posnęli już zmęczeni alkoholem, hard-rockiem i nikotyną. A może czymś jeszcze? Czym? Tego staramy się dojść dzisiaj. Jest niedziela. Z ósmego piętra ludzie wyglądają jak robaczki. Robactwo ciągnie wśród brudnej szarości asfaltu i dogorywającej brunatności trawników. Monotonnie, w jednym kierunku. Do kościoła, bo dochodzi akurat pora mszy. Chmury stłamsiły słońce. Smutek jesieni przytłacza. A w pokoju też smutno. Siedzą teraz przy stoliku. Palą. Przeżuwają przedwczorajsze nadzieje, wczorajsze rozczarowania. Dziś. A jutro?

* * *

Trzeba ustalić ważne szczegóły.

— Jak piszemy? Z nazwiskami i imionami?

— Oczywiście. Ja tam się nie boję — Józek.

— Może lepiej bez nazwiska... — Karin.

— A co, masz zamiar kłamać? — Jurek.

— Ja rozumiem. Na wszelki wypadek... Może niech zostaną tylko imiona — Magda.

— Niech będzie. I tak idzie przecież o sprawy, a nie nazwiska — godzi się Jurek.

Wyjmuję notes.

* * *

Dokończenie na str. 10

z notatnika

7.I. Sprawozdawca PAP donosi, że w toku obrad sesji Stołecznej Rady Narodowej ujawniono pewien znamienny fakt. Otóż niektóre środowiska zawodowe uznały 1980 rok za całkowicie „stracony", a sumaryczne niedobory w swojej pracy za w pełni usprawiedliwione. To spowodowało że kombinaty budowlane postanowiły „ukryć" przed odbiorcami mieszkań — spółdzielniami warszawskimi ponad 10 tys. m kw. zbudowanej już i całkowicie wykończonej powierzchni. W ten sposób w nowy rok od razu wchodzą z większym i efektowniejszym zapasem. Przedstawiciel spółdzielczości ostro zaprotestował przeciwko takim statystycznym „cudom".

Jak z tego widać, ciągle są jeszcze ludzie, dla których odnowa jest po prostu kręceniem od nowa.

8 I. Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność" przy Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Lublinie przysłał do redakcji pismo, w którym krytycznie ustosunkowuje się do decyzji władz w sprawie rozwiązania trudności lokalowych służby zdrowia. W tzw. jednak międzyczasie — to znaczy w trakcie przygotowywania do druku tego numeru „Kameny" — wojewoda wstrzymał realizację postanowień prezydenta miasta. Cała sprawa jest więc nadal otwarta, a samemu problemowi poświęciła już artykuł na łamach naszego pisma Anna Bocian.

A teraz przyszło z kolei pismo od Zakładowej Organizacji Związkowej NSZZ „Solidarność" przy WSS „Społem" w Lublinie zbieżne z opinią, o której wspominam wyżej. Kiedy NSZZ „Solidarność" przy WSS „Społem" zabiera głos na temat służby zdrowia, z którą przecież każdy obywatel styka się od czasu do czasu, ma to jakiś sens. Kiedy jednak w odezwie (z datą 25 listopada 1980 r.) tejże „Solidarności" społemowskiej czytam: „Nie chcemy kolorowych telewizorów — ale chcemy jeść", a dalej: „Żądamy natychmiastowego zaprzestania dalszej rozbudowy deficytowego gigantu „Huty Katowice", a zasoby przeznaczone na ten cel, skierować na inwestycje służby zdrowia" — pióro mnie świerzbi. Osobiście jeślibym czegokolwiek żądał, to przede wszystkim r z e t e l n e j informacji. I dopiero po dokładnej analizie mógłbym wypowiadać się na temat huty, lubelskiego zagłębia czy innych tego typu przedsięwzięć, które przecież są potrzebne, choć — co już jest innym problemem — może nas w tej chwili na nie po prostu n i e s t a ć. A co nagle, to po diable — mówi stare przysłowie. Lepiej więc nie n a t y c h m i a s t o w e, ale s u k c e s y w n e. Z głową! Po to, abyśmy błędów nie leczyli błędami i likwidując stare nie popełniali nowych. Podobnie, moim zdaniem, ma się rzecz z kolorowymi telewizorami. Znam takich, co by pałaszowali chleb z solą, byle tylko mogli się gapić na kolor. (Wyszło do rymu). Spróbujmy zresztą dzisiaj kupić telewizor kolorowy! Gdyby pojawiły się na rynku, w kolejce stanąłby niejeden pracownik WSS „Społem". Gotów się jestem założyć!

Oczywiście każdy człowiek ma pełne prawo wypowiadać się na temat spraw ogólnokrajowych. Wielkich problemów nie regulujemy jednak wówczas, kiedy problemy małe pozostawimy na uboczu.

Na początku grudnia ub. r. przystąpiono do remontu restauracji „Europa", która WSS „Społem" poprzez LSS podlega. Pomalowano kilka ścian i tygodniami czekano na facetów, którzy zajmą się posadzkami. Ciekawy jestem, czy remont zakończy się w pierwszym kwartale br?

Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność" z WSS „Społem" widzi (dalej cytuję wspomnianą odezwę) wśród problemów, które należy przedyskutować „przejawy marnotrawstwa i niegospodarności we własnym zakładzie pracy". Ogromne pole do popisu! Chętnie udostępnimy łamy „Kameny" na rzeczową analizę schorzeń. O niektórych sam już niegdyś pisałem. Jeszcze wówczas, kiedy „Solidarności" nawet w Gdańsku nie było!

Propaganda sukcesu ma młodszą siostrę. O ładnym imieniu: Demagogia. Zdrobniale — Gucia.

9 I. — Dwa wystąpienia telewizyjne członków Biura Politycznego KC PZPR — najpierw wicepremiera Mieczysława Jagielskiego, a później (wczoraj) — Stefana Olszowskiego. Główny problem — wolne soboty.

Kiedy wisi nad nami niczym miecz Damoklesa dług w wysokości dwudziestu iluś miliardów dolarów, kiedy spada wydobycie surowców, kiedy półki sklepowe nie gną się nawet pod octem i musztardą (choć butelka przy butelce, słoik przy słoiku), należałoby raczej dyskutować nad wolną niedzielą i okresowym przedłużeniem tygodnia pracy do czasu, gdy choć trochę nie staniemy na nogi, a nie nad wolną sobotą. Każdą, jak leci! A może po prostu przychodzić do pracy tylko wówczas kiedy się chce?

Korespondent zachodnioniemieckiej telewizji Peter Ruge, powiedział wprost: „Solidarność ogłosiła, że pragnie uczynić z Polski drugą Japonię. Jest to ambicja bardzo chwalebna. Aby to jednak uczynić, trzeba mieć pracowitość Japończyków".

Z kolei dziennik „Bonner Rundschau" wyraźnie postawił kawę na ławę: „Jeśli nie dojdzie do przesunięcia terminu, Warszawa będzie musiała w tym roku uiścić ponad 13,6 mld marek (ok. 7 mld dolarów) tytułem spłaty rat i procentów od zaciągniętych kredytów".

Patrzą na nas cudzoziemcy — ludzie nastawieni do nas życzliwie, obojętnie bądź wrogo — i coraz mniej nas rozumieją. Wcale się im nie dziwię, bo i ja nie mam najmniejszej ochoty uczestniczyć w zbiorowym samobójstwie.

Na osiedlu im. Prusa w Lublinie jest sklep monopolowy. W jednym dniu przedświątecznym, sprzedając alkohol od godziny 15, uzyskano ponad 300 tysięcy złotych! Nie należę do abstynentów, ale ta liczba przeraża. W ewentualnym referendum wypowiedziałbym się teraz za prohibicją.

Nastał czas, gdy bardzo łatwo jest powiedzieć „nie", a bardzo trudno „tak". W satyrze to nawet bawi, ale satyrze na „tak" zawsze mówiłem „nie". Życie jest jednak nie tylko s z p i l k a m i usłane i nie każdemu jest dobrze w roli fakira. Zresztą fakir — amator może się poranić!

10 I. Wieczorem telewizja przyniosła radosną wiadomość, na którą czekała cała Polska: operacja Karlino pomyślnie zakończona. Erupcja ropy została opanowana.

Trzeba było widzieć rozradowane twarze tych wszystkich, którzy przez miesiąc walczyli z rozszalałym żywiołem — w świątek i w piątek, w dzień i w nocy. Powiodło się, choć wybuch zaskoczył. Teraz przyjdzie czas na spokojną analizę, na odpowiedź, czy m u s i a ł zaskoczyć. (Jak dotychczas, tylko zima zaskakiwała drogowców... Olek Rozenfeld powiedział, że koniec świata będzie wówczas, kiedy drogowcy zaskoczą zimę, ale to na marginesie).

Ropa przepływa teraz w sposób kontrolowany, lecz emocje w kraju bynajmniej nie wygasły. Są tacy, którzy myślą, że mamy nowy cud nad morzem: nie spadła wprawdzie biblijna manna, ale z ziemi wytrysły petrodolary.

No to cyk pod te petrodolary! Trzydniówka wystarczy?

Ja jednak z toastem jeszcze zaczekam.

11 I. W „Sztandarze Ludu" rozmowa z przedstawicielami Komitetu Porozumiewawczego Środowisk Kulturotwórczych w Lublinie — Ryszardem Lisem i Bogusławem Wróblewskim. Wróblewski mówi o „Kamenie": „W sprawie „Kameny", która obecnie nie kontynuuje swoich dawnych dobrych tradycji, postulujemy m. in. przekształcenie tego dwutygodnika w tygodnik społeczno-kulturalny. Konieczne jest zapewnienie priorytetu na łamach „Kameny" dla krytyki artystycznej i literackiej oraz publicystyki kulturalnej".

Postulat o przekształcenie pisma w tygodnik wyszedł już w ub. r. z redakcji i został serdecznie poparty przez zastępcę członka Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarza KW, Władysława Kruka. Odpowiedni wniosek w tej sprawie otrzymał Wydział Prasy Radia i TV przy KC PZPR. Czekamy na decyzję. Ze swej strony wyrażam zadowolenie, że pragnienie redakcji zgodne jest z pragnieniem Komitetu Porozumiewawczego. Czy „Kamena" kontynuuje dawne dobre tradycje, czy też nie — zdania mogą być podzielone. Odnoszę jednak wrażenie, że Wróblewski „Kameny" po prostu nie czyta. Nawet specjalnie się temu nie dziwię: za ostatni numer płacono na tzw. czarnym rynku 100 złotych. I to nie dla „krytyki artystycznej i literackiej" chociażby pióra Wróblewskiego!

Redagowany przez niego „Akcent" znalazł aprobatę „Więzi", ale i w cieplej recenzji znalazłem takie zdanie: „Rzecz jasna, 176-stronicowy tom nie jest wolny od pewnych mielizn. Rozległa panorama lubelskiej poezji, jaką w interesującym skądinąd szkicu roztacza redaktor naczelny Bogusław Wróblewski, chyba jednak grzeszy nieznaczną stronniczością..."

Osobiście jestem za krytyką literacką i artystyczną, ale nie za jej p r i o r y t e t e m. Dzisiejszy czytelnik szuka w piśmie zupełnie czego innego. A czego — o tym Wróblewski-redaktor przede wszystkim wiedzieć powinien.

M. A. Jaworski

JAN POPEK

25 grudnia 1980 roku zmarł Jan Popek — artysta malarz, grafik, adiunkt w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS. Ten nagły zgon w lubelskim szpitalu jest poważną stratą dla kultury artystycznej regionu i kraju. J. Popek należał bowiem do czołowych malarzy średniego pokolenia, o czym świadczą chociażby liczne nagrody i wyróżnienia, otrzymane przez Niego m. in. na Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie, w konkursie im. J. Spychalskiego w Poznaniu, na międzynarodowych wystawach w Bejrucie, Niregyhaza (Węgry) i Lublinie („Przeciw Wojnie"). Był poza tym laureatem prestiżowej Nagrody Plastycznej Lubelszczyzny, przyznanej Mu w 1973 roku za najlepszą wystawę indywidualną, urządzoną w tym okresie. Jan Popek ma już widoczne miejsce w historii sztuki polskiej, choć żył zaledwie 38 lat. Wspominając Go z szacunkiem, pod adresem Rodziny Zmarłego kierujemy słowa współczucia.

Kolegium i Zespół redakcji „Kameny"

NA EKSPANS

Co Arturo Ui wespół z Feliksem Krullem mogą?

FRANC FISZER mawiał, że w Polsce nie zacznie dziać się dobrze, jeżeli nie powiesimy tysiąca złoczyńców. Zapytywany, co czynić, gdy okaże się, że jest ich mniej, odpowiadał, „Dobrać z uczciwych". Gdyby dzisiaj poważnie brać apel Fiszera, trzeba by się uciec do ustalenia listy preferencyjnej.

Nie jestem pewien, czy pierwsze lokaty na tej liście powinny być zarezerwowane dla naszych wybitnych malwersantów. Czyż nie mniej godni uhonorowania są ci, którzy nie dla korzyści własnych, a dla ogólnego dobra i tzw. lepszej przyszłości zainwestowali kilkanaście miliardów dolarów!

Jakie miejsca zarezerwować dla tych, co nie mają wyobraźni, jak dyrektor gospodarstwa rolnego koło Kazimierza? Nie miał ani paszy, ani pieniędzy. Wziął zatem kredyt i kupił zboże. Jako człowiek oszczędny, zamówił przewóz transportem wodnym. Nie wyobrażał sobie jednak, że dwadzieścia parostatków może przypłynąć w tym samym czasie. Nie mając możliwości rychłego rozładunku paszy, z bólem serca zdecydował się na redukcję stada. Bólu tego nie ukoił nawet dobry obiad (prosię po staropolsku z kaszą gryczaną) skonsumowany z radnym GRN. Na szczęście przedstawiany przypadek braku wyobraźni to czysta fikcja, bo — jak państwo wiecie — Wisła nie jest spławna, a koło Kazimierza nie ma PGR.

Zastanówmy się jednak, jakie są źródła braku wyobraźni. Skutek bowiem poprzedza przyczyna. Decyzje gospodarcze wynikają ze stanu myśli ekonomicznej i dlatego warto przejść krótki kurs polskiej myśli ekonomicznej. Zacznijmy od połowy lat sześćdziesiątych, kiedy to pojawiła się „nowa szkoła ekonomiczna". Jej triumf przypadł na okres między marcem a listopadem 1968, w czasie dyskusji nad tezami na V zjazd. W trakcie tej dyskusji dowiedzieliśmy się, że: prof. Brus jest syjonistą, prof. Lipiński — rewizjonistą, prof. Bobrowski tradycjonalistą, prof. Wakar — subiektywistą-marginalistą. Prace prof. Langego przestały pokazywać się w druku, a jego uczniowie na uczelniach. Pewna centralna gazeta zarzuciła prof. Kaleckiemu, że posługując się matematyką, czyni ekonomię niezrozumiałą dla klasy robotniczej. (Na szczęście okazało się później, że robotnicy potrafią liczyć, i to liczyć na siebie).

W efekcie owej dyskusji katedry ekonomii stały się przestronniejsze i to — co warto podkreślić — bez zbędnych nakładów inwestycyjnych. Sakralne katedry zostały zresztą wkrótce zastąpione przez laickie zakłady. Napłynęła do nich grupa młodych i ambitnych docentów. Grupa była liczna, bo przewody nobilitacji bez habilitacji trwały krótko. Kandydat do tytułu naukowego w dwóch słowach przedstawiał swój dorobek i kończył autoreferat stwierdzeniem: „No, a teraz docenta mnie". Apogeum rozwoju „nowa szkoła" osiągnęła w 1970 roku. Ukazała się wtedy książka „Plan a rynek". Była podsumowaniem dyskusji, w której jednogłośnie uchwalono, że rynek jest nam zbędny, bowiem w selektywnym i intensywnym rozwoju kierować się będziemy interesem społecznym.

Co się działo potem w gospodarce, wiecie państwo sami. Udało się nam zrealizować dwa wielkie plany: utworzenia w Polsce strefy bezmięsnej i zrównania chłopa z ziemią. Jak natomiast potoczyły się dalej losy przedstawicieli „nowej szkoły"? Co starsi przeszli na zasłużoną emeryturę. Z chwilą wygaśnięcia stosunku służbowego okazało się, że do osiągnięć teorii i sukcesów praktyki są krytycznie ustosunkowani. I rację chyba ma prof. Bobrowski, twierdząc, że członkowie jakiejkolwiek komisji do spraw reformy gospodarczej powinni mieć albo więcej niż siedemdziesiąt lat, albo mniej niż trzydzieści.

Mniej zdolni z młodszych odrabiali zaległe prace habilitacyjne i raczej niechętnie wspominają lata młodości. Najzdolniejsi stali się ekspertami i doradcami. Stało się to, czego najlepsi znawcy literatury niemieckiej nie mogli przewidzieć. Komunista Brecht i mieszczuch Mann napisali wspólnie sztukę. Bohaterami jej byli Arturo Ui i Feliks Krull. Rezultaty pracy obydwu bohaterów przeszły wszelkie oczekiwania, co chyba, układając wspomnianą listę preferencyjną, warto odnotować.

emzet

Z czym do widza?

Mirosław Derecki

WILGOTNA ciemność ogarnia Nałęczów; dano na sen ulicznym latarniom, kierowcy klną, staruszki na przejściach tracą głowę w wieczornej mgle, ledwie rzęzi orkiestra w „Przepióreczce". I nawet neon kina „Cisy", tej miejscowej świątyni ułudy, sprawia wrażenie jakby za chwilę miał skonać. „Najlepszę te małe kina..." rozrzewniał się kiedyś Konstanty Ildefons. Dzisiaj małe kina marzą rzewnie o minionych, lepszych czasach. Przed kasą kina „Cisy" w Nałęczowie jest sennie i pustawo. „Mój Boże, żeby tak nam dali do wyświetlania „Trędowatą"! — wzdycha kierowniczka.

„Trędowata" — nie ważne, czy przedwojenna, czy „współczesna" w Hoffmanowskim wydaniu, z Elżbietą Starostecką i Leszkiem Teleszyńskim w głównych rolach — to znaczy: pełna widownia i wykonany miesięczny plan sprzedaży biletów. Nałęczów ma specyficzną publiczność: większość widzów stanowią kuracjusze, ludzie najczęściej starsi. A że poważnie schorowani, sercowcy, najchętniej wspominają piękne lata — i filmy — swojej młodości. Grymaśni są przy tym niezwykle: ta komedia jest dla nich za mało wesoła, tamten dramat za bardzo przygnębiający, lubią, żeby w kinie panowała atmosfera familijna, żeby można było poradzić się kasjerki co do wyboru miejsca na sali, a z kierowniczką porozprawiać na temat filmu przy wyjściu z kina. Najchętniej chodziliby na „Znachora" i „Profesora Wilczura", na „Ordynata Michorowskiego", „Trędowatą" i „Wrzos" — ale te przedwojenne filmy, wznowione przy udziale Filmoteki Polskiej, wyrywają sobie wszystkie kina, szczególnie teraz, gdy z repertuarem bieżącym coraz gorzej, i gdy tylko sentymentem można spróbować zagłuszyć brak konkretu.

Ludzi młodych można jeszcze przyciągnąć powtórkami znajdującej się wciąż „na składzie" „Wiernej żony" Vadima ze wszystkimi jej goliznami i (dopuszczalnymi przez polską cenzurę) perwersjami, a dzieci szkolne można wabić przygodami „Czterech pancernych i psa". Ale w końcu gdzieś przecież istnieją granice wytrzymałości widowni na oglądanie w kółko zarówno upadłych piękności, jak i bohaterskiego Szarika. Kierowniczka kina „Cisy" nie ma złudzeń: w 1979 roku, w miesiącach letnich, w pełni sezonu, miesięczny utarg ze sprzedaży biletów wynosił ponad dziewięćdziesiąt tysięcy złotych; w tych samych miesiącach roku 1980 — tylko czterdzieści osiem tysięcy! „A co będzie dalej, jak nie będziemy mieli atrakcyjnych nowości w repertuarze?!"

*

Kino nałęczowskie ma przynajmniej swoją „stałą" publiczność sanatoryjną. O wiele trudniej zapełnić widownię kina „Opolanka" w leżącym o kilkadziesiąt kilometrów od Nałęczowa — Opolu Lubelskim. Kierownik Paluch pracuje w swoim fachu od ponad czterdziestu lat, jeszcze od czasów, gdy kino „Opolanka" nosiło dumne, „herbowe" imię „Zadora" i było własnością miejscowej dziedziczki, pani Siekierzyńskiej — ale i on, podobnie jak kierowniczka z Nałęczowa, kręci tylko głową ze smutkiem. „Panie — kino mamy teraz pierwsza klasa, gruntownie przebudowane, eleganckie, wygodne, ale czym ja mam do niego wabić publiczność? Ludzie chcą przygody, ruchu na ekranie, kawał świata chcą w kinie zobaczyć, i jeszcze: żeby to wszystko było zrobione przez najlepszych fachowców. A co ja im dzisiaj mogę zaproponować? Przed wojną, jak w Ameryce szedł Chaplin, to i u nas wkrótce potem był Chaplin, jak w Nowym Jorku wyświetlali Douglasa Fairbanksa, to myśmy w Opolu Lubelskim także oglądali Fairbanksa. I nie było, proszę pana, wtedy żadnej tam telewizji i mówiło się, że Opole Lubelskie to jest głęboka prowincja. Żeby mnie tak dzisiaj dali choć „Przeminęło z wiatrem"! Ale „Przeminęło z wiatrem" zrobili na „siedemdziesiątce" i tam się o niego biją, kierownicy kin zeroekranowych się o niego biją, w wielkich miastach, żeby plan ratować!".

I jest w tym, co mówi kierownik, dużo prawdy. Bo na przykład aktualnie ma on w swoim kinie „na tapecie" czechosłowackie filmy: „Piękna i bestia" oraz „Gra ciałem" (gra ciałem sportowym — dodam dla wyjaśnienia) i są to oczywiście interesujące obrazy, ale gdzie im tam do „Przeminęło z wiatrem" albo na przykład „Działa Navarony". Albo choćby do... niektórych filmów współczesnych polskich reżyserów. Bo Waldemar Zanussiego, Agnieszkę Holland, Kieślowskiego czy Falka cenią się także w Opolu Lubelskim. Tylko także często pojawiają się ich filmy na prowincji dopiero wtedy, gdy opadnie fala głównego zainteresowania, gdy przestało się już na ich temat mówić w telewizji i pisać w gazetach. „Opolanka" zajmuje drugie miejsce w okręgu w kategorii małych kin, ale może właśnie dlatego tym bardziej tutejsze kierownictwo dostrzega niebezpieczeństwo płynące z coraz mocniej rysujących się niedoborów repertuarowych. Ratunek dają jeszcze niedziele: wtedy gra się w południe bajki dla najmłodszych, o godzinie drugiej idzie film dla młodzieży, wieczorne seanse są zarezerwowane dla dorosłych. Szczególnie — dla „kawalerki" z okolicznych wsi, która — po nieszporach — ciągnie z pannami na podbój przybytku X Muzy. Choć w niejednym domu miga kolorowy telewizor, zawsze kino to rozrywka kulturalna, wchodząca tutaj wciąż jeszcze w skład harmonogramu godnie spędzonej niedzieli. Ale zdarza się już, zdarza, że i tutaj trzeba odwoływać niektóre seanse. Szczególnie od tej pory, gdy nauczyciele przestali prowadzić młodzież do kina, bo im za „opiekuństwo" po godzinach pracy nikt nie chce płacić, a w czasie godzin lekcyjnych oglądanie filmów zostało surowo zabronione przez kuratorium. „Jeszcze przeciętnie cztery tysiące widzów na miesiąc wyrobię — śmieci się trochę obłudnie (bo i tak mu stosunkowo dobrze kino prosperuje) kierownik „Opolanki" — ale to tylko do czasu, do czasu...".

Co mam mu powiedzieć: że w leżącym po drugiej stronie Wisły Janowcu, w kinie „Nadwiślanka", prawie w ogóle nie ma frekwencji, że „prosperuje" ono zaledwie trzy dni w tygodniu, że utrzymuje się je tylko dla zasady nie pozbawienia miejscowej ludności „rozrywki kulturalnej", którą nota bene czerpie ona — z wątpliwym skutkiem — przede wszystkim z telewizyjnego okienka na świat? Mam pocieszać kierownika, że nie jest u niego tak źle, skoro od pewnego czasu sala puławskiej „Jodełki" świeci pustkami, a nawet reprezentacyjne kino „Sybilla" musi korygować plany rocznych „obrotów", bo i ono zaczyna odczuwać niedobór widzów wynikający z coraz mniejszej liczby atrakcyjnych filmów otrzymywanych z lubelskiej „centrali"? Jeszcze „Rocky II" daje kasę, jeszcze „Złoto dla zuchwałych" przyciąga młodzież, a „Powrót Mechagodzilli" — dzieci w wieku szkolnym; lecz jeżeli nawet tego kiedyś zabraknie?

Nie można bazować tylko na filmach z tzw. pierwszego obszaru płatniczego, to znaczy tych, za które nie musimy płacić w dewizach, choćby były to dzieła najwyższej rangi artystycznej i jak najbardziej atrakcyjne w sensie przygodowym. Nie można — bo zostaniemy odcięci w ten sposób od szerokiej produkcji światowej, a to odbije się zarówno w naszej kulturze, jak i na naszej państwowej kieszeni. Kierownicy kin mówią — przy rozważaniu kwestii repertuaru — najczęściej o braku filmów „atrakcyjnych", „przygodowych", „kasowych; krytycy i działacze filmowi biją na alarm, że nie sprowadzamy filmów ambitnych, dzieł filmowych najbardziej reprezentatywnych dla współczesnego kina. W sumie — sprowadza się to do pewnej ogólniejszej wspólnej refleksji nasz repertuar filmowy został ostatnio poważnie podcięty i cała rozległa konstrukcja „kinofikacyjna" zaczyna się niebezpiecznie chwiać. W *latach ostatnich* — pisze Andrzej Ochalski w tygodniku „Ekran" z 14 grudnia 1980 r. — *rozstaliśmy się niemal niepostrzeżenie z najlepszym repertuarem świata i dryfujemy właśnie, przy akompaniamencie dostojnych głosów urzędniczych o niemożności jakiejkolwiek drogi, ku filmowej ziemi jałowej, na oślą ławę Europy, gdzieś w pobliże krajów tak atrakcyjnych dla kinomana jak Albania.* [...] *Jeszcze trzy lata temu kupowaliśmy w ciągu roku z krajów „drugiego obszaru płatniczego" ponad dziewięćdziesiąt filmów. Ten „obszar" to nie tylko Zachód, ale wszystkie w ogóle kraje, którym płacimy za filmy w walutach wymienialnych więc także Boliwia, Algieria, Indie i Jugosławia. W roku 1980 kupiliśmy tamże 31 filmów. Z największym trudem, bo wydawało się parę miesięcy temu, że poprzestaniemy na kilkunastu. Zablokowano dewizowe fundusze importowe, wskutek czego nawet w przypadku opłaconej już licencji („Czas Apokalipsy") nie mogliśmy kupić materiałów do produkcji kopii. Słychać też, że w roku przyszłym import filmów zmniejszy się jeszcze bardziej.*

Pamiętajmy, że Polska sprzedała w 1980 r. szereg dzieł naszych twórców za kwotę 8 milionów złotych dewizowych, a tylko połowa tych pieniędzy wystarczyłaby na zakup około setki „zachodnich" filmów na nasze ekrany.

*

Każdy ma swoje kalkulacje i swoje racje. Czytelnicy tygodnika „Film" piszą do redakcji oskarżycielskie elaboraty, że odmawia się nam możliwości obejrzenia całokształtu twórczości Kena Russella, że nie znamy prawie całego Pasoliniego, szeregu wybitnych filmów Felliniego, Rossellinie-go, Bertolucciego, Ferreriego, Lumeta, Costy-Gavrasa, Woody Allena, Polańskiego czy Borowczyka. Panowie od rozpowszechniania oraz kierownicy kin przyznają tym głosom rację, ale — dodają — jak ma być trzydzieści filmów rocznie, to niech większość z nich będzie przynajmniej filmami „kasowymi", żeby plan był wyrobiony. Choć szereg wymienionych wyżej autorów zapewnia na światowym rynku nie mniejszą „frekwencyjność" niż na przykład film „Tylko dla orłów". Wysoko postawieni urzędnicy od kultury usiłują nam wytłumaczyć, że trzydzieści filmów „wybitnych" (ale pytam, dlaczego ich nie kupujemy?) zdoła zapewnić wysoki poziom i atrakcyjność repertuaru. A rzeczywistość jest taka, jak opisana na początku tego artykułu: w kinach prowincjonalnych ciągłe dogrywanie „powtórek", na ekranach kin lubelskich, w przedświątecznym tygodniu, równoczesny, zmasowany ryk „Powrotu Mechagodzilli", „Terroru Mechagodzilli" oraz „Ebiraha potwora z głębin". Jak tak dalej pójdzie, zostaniemy przez określone bestie zaryczeni na amen.

Tymczasem, w najbliższej perspektywie przyszłorocznej: „parszywa dwunastka", „Agonia", „Coma" (produkcji USA), „10 z Navarony" (Wk. Bryt.), „Glina czy łajdak" oraz „Ballada o żandarmie" (Franc.), „Lato mordercy" (Hiszp.). W dalszej kolejności m.in.: włoski film „Chrystus zatrzymał się w Eboli", japoński „Sobowtór" Akira Kurosawy, remake słynnej „Ceny strachu" nakręconej przed laty przez Clouzota, „Cały ten zgiełk" („All that Jazz") amerykańskiego reżysera Boba Fosse'a. „Nawet jeżeli dorzucimy do tego amerykańską „Ucieczkę z Alcatraz", science-fiction „Saturn 3" oraz western produkcji USA „Jeźdźcy z daleka", to z wyjątkiem trzech, czterech wartościowych filmów, daje to wszystko jakieś żałosne „pomieszanie z popłątaniem". W dodatku, kilka „atrakcyjnych" filmów przeszło „poślizgiem" na rok 1981 z roku poprzedniego. Wygląda tak, jakby wszystkie możliwe racje repertuarowe zostały wrzucone do jednego, mało zresztą przestronnego — worka, z którego fanty wyciąga sierotka w ciemnych okularach.

„Kasowe" czy też „niekasowe" filmy (to się jeszcze okaże) trafią na ekrany kin zeroekranowych, które z pewnością będą je eksploatowały jak długo się tylko da, nie dopuszczając do „złotej żyły" prowincjonalnych szaraczków. Ale i tak, już dzisiaj przewiduje się, że pierwsze kino Lubelszczyzny — „Kosmos" nie zdoła odbudować łatwo frekwencji sprzed kilku lat (np. w 1980 r. miało o 10 proc., tj. około 45 tys. widzów mniej niż w 1979 r.), a np. kino „Wyzwolenie" nie podratuje już kasy „Znachorem" i „Profesorem Wilczurem" — bo wygrano je tam do ostatecznych możliwości.

Fot. Waldemar Stępień

Można też przypuszczać, że dojdzie do skutku zamiar dyrekcji Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Lublinie, żeby w szeregu kin w małych miastach ograniczyć liczbę seansów, a nawet dni wyświetlania filmów, co może pociągnąć za sobą zaproponowanie personelowi przejście na półetaty lub trzy czwarte etatu. Bo już dzisiaj panuje w niektórych kinach taka sytuacja, że po prostu szkoda marnować węgiel i energię elektryczną dla ogrzewania i oświetlania pustych sal.

Wizja może nazbyt apokaliptyczna, ale przecież rację ma kierownik lubelskiego kina „Kosmos", gdy mówi: „Zawsze, kiedy pogarsza się repertuar, najpierw dostają po kościach kina zeroekranowe: „nowości" mają niewiele, a „powtórek" w zasadzie grać nie powinny. Jeszcze przez dwa — trzy lata trzymają się wtedy kina niższych kategorii, grające filmy powtórkowe. Ale ile razy można grać powtórki: cztery, pięć, sześć razy proponować ludziom do obejrzenia ten sam film? I wtedy, po jeszcze następnym roku czy dwóch — zacznie się klęska kin małych".

Z czym do widza? Na razie — może należy zadać sobie pytanie: z czym do kina? Bo nie tylko repertuar, ale także same kina wydają się być w niebezpieczeństwie.

Wspaniale że nie kradłeś...

Anna Bocian

ZAWSZE stałem nieco z boku — powiedział młody lubelski inżynier. — Mój ojciec stał z boku i brat. Bez szczególnego akcentowania postaw robiliśmy, czego od nas wymagano. Byliśmy jak to się mówi: dobrzy, ale bezpartyjni. Ale skończyło się ciche życie na marginesie. Wstąpiliśmy do „Solidarności". Jak wszyscy z obserwatorów, staliśmy się uczestnikami.

— I cóż się okazało? — powiedział brat inżyniera, urzędnik. — Jesteśmy świetnymi teoretykami, a przygotowanie głupiego zebrania nastręcza nam trudności. Nie trenowaliśmy w żadnej organizacji młodzieżowej. Nie jesteśmy zawodowcami w tej branży. Po dyletancku to wszystko sklejamy.

— Jak oceniacie odnowę?

— U nas w zakładzie mówi się, że owszem od nowa, ale nie od siebie. To wyjaśnia wszystko — zasmucił się inżynier. — W podobnym duchu dyrekcja przeprowadziła niewielkie zmiany personalne, konkretnie w moim dziale. Szefem komórki został człowiek pryncypialny, choć mało kompetentny. No i nie pierwszy raz. Tylko, że ten kolega i jemu podobni rozumieją odnowę w ten sposób, że teraz oni będą brać. Więc on przestawia sobie gabinet, wysyła sekretarkę po śniadania itd. Niby inteligentny, niby kapuje, a w gruncie rzeczy prostak.

— Żeby teraz zrozumieć odnowę, przedtem trzeba było bardzo jej chcieć — zauważył urzędnik. — To nie dyrektorzy robili strajki, i nie urzędnicy. Kto by zauważył, że cały dzień nic nie robią? Co by to dało, gdybym powyrzucał ukochane segregatory? A tzw. wałęsówkę dostałem. I nagrody też podostawałem. A po co? A żebym siedział cicho. A należało się?

— U nas pod hasłem odnowy załatwiane są wszystkie te sprawy, które i tak trzeba było załatwić — wtrącił inżynier.

— Zaraz — pilnował wątku urzędnik. — To jest w mojej instytucji odnowa, czy jej nie ma? My mówimy, że odnowa jeszcze czeka w kolejce do pokoju przyjęć. A dyrektor tylko zamyka się w swoim gabinecie i gdzieś telefonuje po wytyczne. Jak mają teraz żyć ludzie, którzy całe życie przyzwyczaili się słuchać wytycznych? Przychodzi raz dyrektor i mówi: patrz, cholera, oni mi radzą, żeby na zdrowy rozsądek... I się martwi. To tacy ludzie pójdą do przodu?

— Za dużo ludzi ze średniego szczebla nie wierzy w odnowę — stwierdził inżynier.

— Wszędzie średni szczebel zawala — skonstatował urzędnik. — Myślę, że przeciwni odnowie są ci, którzy kiedyś się załapali, potem podniosła im się stopa i teraz myślą, że jak się wzbogacili, to są mądrzejsi od innych.

— Mają już instynkt asekuranctwa — podsumował inżynier. — O ile do „Solidarności" załapali się między innymi wiecznie niezadowoleni, a nawet obiboki, to ci ze średniego poszli do związków branżowych jak do bunkra, żeby przeczekać. Więc kiedy mówiło się, że zbieramy na pomoc dla Włochów dotkniętych trzęsieniem ziemi, to nagle nowy kierownik powiedział, że nie da dla jakichś tam Włochów, bo zbiera jakaś tam „Solidarność". On nie przyswaja niczego, co wiązałoby się z jakimkolwiek ryzykiem. Chociaż, o czym tu mówić, mógłby anonimowo zanieść starą jesionkę.

— O czym tu mówić — zasępił się też urzędnik — przez dziesięć lat rozwarstwiano społeczeństwo na biednych i bogatych, i to jest skutek.

Mówiliśmy o odnowie, siedząc pod telewizorem i czekając na transmisję z odsłonięcia pomnika ufundowanego stoczniowcom poległym przed dziesięcioma laty na Wybrzeżu. Zapowiedziana transmisja odwlekała się.

— Spóźnia się ta nasza odnowa — urzędnik włożył serdak i poszedł do zimnej kuchni nastawić herbatę. Jego brat cofnął się wspomnieniem do dnia, w którym Wałęsa podpisał porozumienie.

— Następnego dnia po podpisaniu porozumienia w Gdańsku, koledzy z zespołu gratulowali mi życiowej postawy. Wyszło na twoje — mówili, chociaż nigdy nie afiszowałem się z poglądami. W dwa dni później jakby się już tego wstydzili. Co tam... Mam ciekawsze spostrzeżenia. Jeden z moich przełożonych zaczął chodzić jak paw i cieszył się: ja nie kradłem! Kiedyś przychodzi do mnie i znowu swoje: nikt nie może mi zarzucić, że ja tego... Wspaniale, że nie kradłeś, mówię — bo nie miałeś okazji. Za to jako kierownik zdefraudowałeś społeczne zaufanie, moje i tych, co zdążyli odejść z zakładu. Może nie wiesz, że jesteśmy inżynierami, a pracujemy jako technicy? Może nie wiesz, że jesteśmy w najlepszym okresie życia, a kibicujemy. Co nam obiecywałeś na zebraniach? No to on, że teraz wszystko się zmieni, bo „Solidarność"...

— „Solidarność" powinna się właściwie nazywać „Odpowiedzialność" — wtrącił urzędnik. — Żeby każdy matoł wiedział, że go zobowiązuje. — I postawił przed nami kanapki z rybą.

— Powiedziałem na zebraniu o odpowiedzialności moralnej za czynności związkowe — ciągnął. — Na drugi dzień wzywa mnie kierownik i mówi: co ty, kurka wodna, „Solidarność" chcesz zakładać? W końcu ta „Solidarność" i tak powstała — i wszystko jest po staremu.

— U nas też — zgodził się inżynier. — Powoli ludziom staje się wszystko jedno. Pierwszy entuzjazm przygasł, na kilku wydziałach nie było wyborów, bo nie zebrało się quorum. Musi być jakaś przyczyna, że ludzie stają się zniechęceni, tracą wiarę w sensowność tej działalności.

— Dlaczego?

— Może mali duchem? A może życie jest zbyt szare... Jak była trudna sytuacja, odnowa była oczywista. Załagodziło się coś, zaraz odnowie miękły nogi...

— W tej chwili nie ma odnowy — ocenił urzędnik. — Żeby była odnowa, musi odnowić się władza. A ona czyni to powoli. Zresztą co tu gadać, skoro szczebel wojewódzki nie słucha centralnego. Weźmy choćby taki przykład zaraz po zarejestrowaniu „Solidarności". „No i co z tego" — powiedział nasz dyrektor. Dla niego był to fakt bez znaczenia.

— Co z tego, że się mówi, że ktoś dobrze napisał. I co z tego? — irytował się inżynier. — A co powiedziano na VII Plenum PZPR? Co pisze Syski, albo teraz Rakowski? Nie bierze się tego pod uwagę. A przecież to prawda, że ten duch odnowy jest potrzebny.

— Idę do kierownika i mówię mu, żeby zrobić jakąś analizę po „nowemu". To on mówi: a po co? i daje mi tzw. robotę-pozorkę. I wpinam w segregat jeszcze jeden niepotrzebny papier. A potem kiedy mam nowy pomysł, już wcale do kierownika nie idę. Tylko siedzę i patrzę się na białego orła. Czasem wpadnie do mnie kierownik i mówi: a zrób to czy tamto. Panie, a po co? Dyrektor mi kazał. A spytał go pan, dlaczego? — mówię. Ja jestem pracownikiem — odpowiada mi mój kierownik — a on jest dyrektorem. A prawda jest taka: obaj osiągnęli szczeble niekompetencji i boją się tego faceta ze zjednoczenia. I to nie boją się błędu merytorycznego, ale błędu w sztuce urzędowania. Co za nietakt zapytać: dlaczego? Więc jeśli o to pytam ja, słyszę: bo jest taka potrzeba, bo zaistniała taka konieczność, wreszcie, bo ja ci to mówię. I przylatuje do mnie kierownik z kolejnym absurdalnym zamówieniem od dyrektora, żeby na ewentualne pytanie „coście w tym kierunku zrobili" mogli powiedzieć: „a zajmowaliśmy się tym". Tylko jak, tego już nie opowiedzą. Jakby zapominają, że z ich dyspozycji moje opracowanie absolutnie nie jest odbiciem rzeczywistości.

— Największy problem z przełamaniem rutyny i nawyków — stwierdził inżynier i zabraliśmy się do jedzenia kanapek.

— Jaka jest świadomość przeciętnego inteligenta w obecnej sytuacji? — zapytałam, żując rybę.

— Myśli, czy załapie się w ogonku — powiedział inżynier.

— Inteligent stoi na rozdrożu — powiedział urzędnik. — I nie wie, czy zapali się żółte światło czy czerwone... Nie wie, skąd wiatr wieje.

— Biedny ten polski inteligent, dosłownie i w przenośni — zawyrokował inżynier. — Przez dziesięć lat wmawiano mu, że mamy dobrobyt. Jeżeli nawet nie wierzył, to słuchał i nic nie mówił. Wreszcie wciskana mu idea trzasła z przeciążenia informacjami o tonach wytopionej surówki, dodatkowo wykopanych burakach i wyprodukowanych obrabiarkach.

— Chętnie zgodzilibyśmy się na zastępczą ideę — prawdziwej demokratyzacji — zasugerował urzędnik. — W końcu dużo zmieniło się ludziom w świadomości. Na przykład przestali się bać.

— Prawdę powiedziawszy, przeciętny inteligent czeka, żeby wreszcie zaczęła się ta odnowa — uciął rozmowę brat.

Rozpoczęła się oczekiwana transmisja.

Każde wywołane nazwisko poległego stoczniowca podchwytywali zgromadzeni gromkim: „jest wśród nas". Duch odnowy dał o sobie znać mrowieniem przebiegającym przez kręgosłupy. Rodziny poległych szarpnęły za sznur odsłaniając pomnik — symbol ofiary i nadziei.

OBOWIĄZEK DOTRZYMYWANIA UMÓW

Dokończenie ze str. 1

Polska umowa społeczna należy do tych odmian, które kształtowały się w warunkach szczególnego przymusu. Porozumienia z trzech miast polskich nie narodziły się na zasadzie swobodnego wyboru pertraktacji przez obie strony jako właściwej formy rozstrzygania konfliktów społecznych. Porozumienia te stały się kompromisem osiągniętym przez obie strony w warunkach skrajnego napięcia politycznego, w każdej chwili grożącego całemu narodowi wręcz katastrofą. Z tego też względu trudno byłoby polecać taką sytuację jako wzór do naśladowania. Porozumienie osiągnięte pod presją śmiertelnego zagrożenia wprawdzie także pozostaje porozumieniem, ale budzić musi dreszcz grozy. Pochwalając same porozumienia, nie należy dopuścić już nigdy w przyszłości, aby zawierane były one na krawędzi narodowej katastrofy. Jest rzeczą zastanawiającą, że to przede wszystkim robotnicy wykazali się nieoczekiwanie dla wielu wysokim poziomem kultury politycznej.

Grocjusz sformułował zasadniczo świecką koncepcję umowy społecznej, znajdując dostateczne jej uzasadnienie w naturze człowieka a nie Boga. Obawiał się jednakże zarzutu ateizmu, podkreślając, że przypuszczenie o nieistnieniu Boga byłoby największą zbrodnią. Połączenie tego, co świeckie, z tym, co religijne, wystąpiło z całą jaskrawością w ornamentyce polskiej umowy społecznej. Oto bowiem w sali, gdzie toczyły się pertraktacje, obok marksistowskiego hasła „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" znalazło się wiele miejsca dla przedmiotów symbolizujących wiarę religijną. Oto bowiem tonące w kwiatach bramy wiodące do socjalistycznego zakładu pracy przyozdabiał portret papieża Jana Pawła II. Połączenie to miało spełniać i spełniło wiele funkcji jednocześnie. Z jednej strony — podkreślało socjalistyczny charakter dążeń zdesperowanych mas pracujących, z drugiej zaś — doniosłość religii w kulturze i tradycji narodu polskiego. Z jednej strony wskazywało na socjalistyczne cele strajkujących, z drugiej zaś szansę na przezwyciężenie głębokiego kryzysu wiązało z gruntowną przemianą moralną Polaków wspieraną wiarą religijną.

We wszystkich dotychczasowych koncepcjach umowy społecznej podkreślano ich dwustronny charakter. Dostrzegano ich sens w dążeniach do uzgodnienia sprzecznych interesów władców i poddanych, władzy i społeczeństwa, sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Cechą charakterystyczną polskiej umowy społecznej jest udział w niej jakby trzeciej strony — duchowieństwa i najwyższych władz polskiego Kościoła katolickiego. Wprawdzie przedstawiciele Kościoła nie uczestniczyli bezpośrednio w pertraktacjach, ale wywarli na nie i losy ich rezultatów niemały wpływ.

Krocząc po linii jakże trudnego do uchwycenia zwasnionym stronom umiaru i rozsądku politycznego, spełniali oni rolę jakby arbitra i cieszącego się szacunkiem mediatora.

Każda umowa społeczna, w tym również polska, nakłada na każdą z jej stron obowiązki, ale i każdą z nich obdarza uprawnieniami. Na obu stronach spoczywa wspólny obowiązek ścisłego przestrzegania treści zawartych porozumień. W szczególności dla władz jest to obowiązek poprawy warunków bytowych i pracy społeczeństwa oraz uprawnienie do żądania dobrej pracy od robotników. Dla robotników obowiązkiem jest właśnie dobra praca, zaś uprawnieniem przede wszystkim prawo do strajku w przypadku naruszania warunków porozumienia przez władze. W momencie podpisywania polskiej umowy społecznej mogło się wydawać, że stanęliśmy w obliczu aktu wielkiego konkordatu narodowego. Wkrótce jednakże euforia pierwszych dni

Kamena str. 4

NIE TYLKO WSPOMNIENIA...

Nie mam szczęścia do „polskich jesieni"

Leszek Siemion

NASZE nazewnictwo zawdzięcza termin „polska jesień" J. J. Szczepańskiemu. W jego ujęciu nazwa ta odnosiła się do września 1939 roku, ja zaś chciałbym rozszerzyć jej znaczenie na inne polskie jesienie, podczas których nasz kraj przeżywał szczególnie ważne wydarzenia. Do takich jesieni zaliczam również tę z 1956 roku i tę obecną, Anno Domini 1980. I już na wstępie muszę stwierdzić, że te „polskie jesienie" przynoszą mi niepowodzenia.

1939. Klęska wrześniowa była moją pierwszą osobistą klęską publiczną, chociaż fakt dalszego prowadzenia walki przez naród pozwolił mi szybko wyzbyć się wrażenia tragicznej porażki. W końcu września na terenie mojego Krzczonowa zakwaterował na dwa dni oddział niedobitków polskiej armii, który następnie w zgrupowaniu płk. Koca usiłował przebić się przez Polichnę do lasów janowskich. Nie zapomnę tych ostatnich żołnierzy. Nie posiadali ciężkich broni, brakowało im wyposażenia, w szczupłych kompaniach widziało się mundury różnych formacji, nawet lotników i marynarzy. Szli z nimi młodzi junacy z PW, szli na pół cywile, których dowód przynależności do walczącej armii stanowił jedynie karabin.

Zapadli mi ci ostatni żołnierze w pamięć i serce. Już wtedy wiedziałem, że kiedyś powrócę do nich, jako do tematu mych publikacji, chociaż wówczas publikowałem jedynie dziecinne książeczki, pieczołowicie przechowywane przez moją Matkę. Powrócę — przyrzekłem sobie — jeśli przeżyję.

Przeżyłem, i z tamtych wzruszeń zrodziły się moje książki: „Iłża pamiętną klęską", „Kapitulacji nie będzie" i „Na wzgórzach Roztocza". W każdej z nich chciałem wyrazić swój szacunek dla tamtych Żołnierzy Niezłomnych, walczących bez rządu i dowództwa. Ze szczególną skrupulatnością szukałem tych, którzy w momentach kapitulacji ostatnich oddziałów rozbitków nie składali broni, ale w pełnym rynsztunku bojowym wymykali się z ostatniego kotła i wracali do rodzinnych domów, aby niezawinioną przez nas wojnę narodową doprowadzić do zwycięskiego finału. Podnosiłem dzielność żołnierzy i charakter dowódców, a także błędy i brak charakteru niektórych z ostatniej grupy. Nie kierowałem się w tych ocenach żadną koniunkturą, starałem się wyciągnąć wnioski z faktów i sytuacji. Nie będę wyliczał, ile dziesiątków lat pracy w różnych formach poświęciłem dla zyskania podstaw do formułowania swych ocen.

We wrześniu ub.r. zdarzyło mi się przedstawić ostatnią decyzję ówczesnego Wodza Naczelnego, który tejże decyzji nie wykonał. Ku memu zdumieniu natychmiast znaleźli się zatrzewieni obrońcy nie tylko Śmigłego-Rydza, ale całego ówczesnego rządu polskiego. Oskarżono mnie z tej okazji, nawet trudno powiedzieć o co. Nikt tylko nie mógł w sposób rzeczowy podważyć podawanych przeze mnie faktów, bo te były niepodważalne. Więc o co chodziło moim przeciwnikom? Czy o prawdę historyczną, czy też o wyładowanie swych bardzo dziwnych, a nie wynikających z faktów, wyobrażeń i uczuć odmiennych od moich własnych? Ale cóż mi z tego, jeżeli nawet racja jest przy mnie, zaś triumfalny hałas przy moich adwersarzach, gdy pozbawiono mnie możliwości udzielenia im odpowiedzi. A więc mimo niemałego trudu, jaki włożyłem w temat, tamta „polska jesień" nie przyniosła mi satysfakcji. Nie szkodzi — mówię sobie — i tak przypomnę jeszcze ostatnich żołnierzy zgrupowań pułkowników: Filipkowskiego, Koca i Płonki. Bo oni we mnie żyją, chociaż wcale nie podnoszą wrzawy, jak to robią moi polemiści.

1956. Wraz z rokiem poprzednim stanowił moim zdaniem najświetniejszy okres polskiej publicystyki w Polsce Ludowej. Kierowałem wówczas działem partyjnym „Sztandaru Ludu" i wyżywałem się publicystycznie jak nigdy przedtem i nigdy potem. Bez przeszkód polemizowałem wówczas w gazecie z pierwszym sekretarzem KW. Zapewne dlatego lubelska młodzież powołała mnie na organizatora i redaktora czasopisma, które na mój wniosek nazwaliśmy „Pod wiatr". Umieszczona w pierwszym numerze nasza zapowiedź programowa była krótka i brzmiała:

Wydawanie nowego pisma w Lublinie nie jest sprawą ambicji tego prowincjonalnego województwa, ani sprawą ambicji zespołu redakcyjnego. Dwutygodnik „Pod wiatr" zrodził się dzięki Polskiej Październikowej Rewolucji i dzięki tkwiącej w każdym uczciwym człowieku potrzebie walki o postęp. W tamtych historycznych dniach tak zwana Rewolucyjna Grupa Studentów uczyniła więcej, niż jakakolwiek inna organizacja partyjna czy społeczna. „Pod wiatr" będzie przede wszystkim kontynuacją inicjatywy podjętej przez szlachetną i patriotyczną młodzież polską. „Pod wiatr" chce być zawsze niezadowolone ze stanu aktualnego chce skupić wokół siebie ludzi, którzy wiedzą, że zatrzymać się w miejscu, to cofać się. Kontemplacja status quo nie prowadzi do niczego. Dwutygodnik nasz chce skupić wokół siebie tych, którzy zahartowali się w walce z różnymi wiatrami wiejącymi w twarz i zdołali uchronić najcenniejsze, co posiadamy — wiarę w człowieka.

Ten pierwszy numer „Pod wiatr" okazał się też ostatnim, gdyż już następny został zakwestionowany przez cenzurę, w wyniku czego pismo uległo likwidacji. A przecież nic nie

Rys. E. Szubiak

Ludzie strąceni z foteli znaleźli doskonały sposób obrony: według nich, są strącani TYLKO DLATEGO, że ktoś inny pragnie zająć ich wygodne miejsca. Broń subtelna: że niby walką o miejsca tylko, a nie o idee. Zyskuje się szanse, walka staje się r ó w n a i oczywiście wyniki nie mogą być wtedy przesądzone. Doskonale wyraził to jeden z takich obrońców: „Jakim prawem pchacie się do żłobu, który myśmy tak długo budowali?".

Janusz Danielak

(Tekst i rysunek pochodzą z „Pod wiatr" 1956, nr 1).

zestarzało się ze sformułowania artykułu wstępnego Waldka Nietkowskiego, który m. in. pisał: *Pojęliśmy nie tylko my, że front narodowy nabiera kolorów życia i sensu. Zaczęło się wielkie pranie i tylko przezorni nawoływali od czasu do czasu: „Nie wylewać dziecka z kąpielą". Obawa nie miała podstaw, bo zwycięstwo naprawdę ludowej demokracji może prowadzić tylko do socjalizmu...*

Od tej pory zestarzeliśmy się tylko my, którzyśmy ten „Pod wiatr" robili. Niektórzy zdążyli nawet odejść na zawsze: Zbyszek Jakubik — wskutek następstw ciężkiego zranienia w wielkiej bitwie partyzanckiej na terenie Puszczy Solskiej, Zbyszek Stepek — wdzierając się na jeden ze szczytów Hindukuszu.

Przecież jednak nie likwidację „Pod wiatr" wspominam jako osobistą porażkę tamtej pamiętnej jesieni. Wspomnienie to wiąże się z olbrzymim, spontanicznym wiecem mieszkańców Lublina zwołanym przez Rewolucyjną Grupę Studentów na terenie budującego się miasteczka uniwersyteckiego. Przemawiało wielu mówców, między innymi podpity osobnik, którego niewybredne inwektywy polityczne zdobywały uznanie słuchaczy. Nie wytrzymałem i także zabrałem głos. Mówiłem o konieczności wolności słowa i początkowo nawet zyskałem aplauz, dopóki nie stwierdziłem, że żądamy wolności słowa dla wszystkich, a więc również dla komunistów. Jakkolwiek czułem się związany z ruchem naprawy Rzeczypospolitej organizowanym przez młodzież, nie zyskałem akceptacji i wygwizdany nie zdołałem ukończyć przemówienia. Jednak wcale nie ta porażka, jakiej doznałem jako mówca, pozostawiła we mnie gorzkie poczucie. O wiele bardziej przykry był dla mnie zawód, że ludzie, domagający się słusznie demokracji, wcale nie byli skłonni rozciągnąć jej zasad na wszystkie ugrupowania polityczne i wszystkich ludzi, bez względu na ich światopogląd.

Wspomnienie tamtej porażki powróciło do mnie niedawno, kiedy przypadkowo wpadła mi w ręce rezolucja organizacji partyjnej redakcji „Sztandaru Ludu", uchwalona 7 kwietnia 1956 roku. Odczytałem ją na nowo i zostałem wprost porażony prawdą, że poza krótkim fragmentem tyczącym się Józefa Stalina i stalinizmu, wszystkie tezy naszej ówczesnej rezolucji można bez żadnych zmian odnieść do sytuacji Polski lat siedemdziesiątych. Oto fragment tego dokumentu: *...podstawowym brakiem całej pracy partyjnej był brak zaufania do mas partyjnych, niewiara w masy pracujące. Choroba ta dotknęła życie partyjne na wszystkich szczeblach. Wyraziło się to w nieinformowaniu mas partyjnych przez kierownictwo partii o istotnych sprawach dotyczących życia*

Dokończenie na str. 11

miała ustąpić jakże niebezpiecznie długiemu okresowi zachwiania się wiarygodności podpisanych porozumień. Sprawa rejestracji „Solidarności" zajęła aż siedemdziesiąt przedłużających się w odczuciu społecznym dni, narażając przy tym na szwank dobre imię niektórych przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. Ponadto forsowały swoje własne stanowisko resorty komunikacji i górnictwa w przedmiocie zasad podziału uzyskanych podwyżek płac.

Brak pełnej wzajemności w realizacji postanowień przez jedną, a tym bardziej przez obie strony umowy społecznej może oznaczać jej efemeryczność, a nawet zupełną klęskę. Może to wynikać zarówno z powodów subiektywnych, jak i w pewnym stopniu — obiektywnych. Powodami subiektywnymi mogą być przede wszystkim postawy i działania niektórych przedstawicieli władz państwowych, niezdolnych do wyjścia poza dotychczasową rutynę biurokratycznego rytuału. Powody obiektywne mogą się wiązać z treścią samych zawartych porozumień. Polegają na określonych niedomówieniach i wieloznacznościach sformułowań zawartych w postanowieniach porozumień, prowadzących do rozbieżnych ich interpretacji przez obie strony. Mimo np. powszechnego zasięgu wynegocjowanych podwyżek płac silniejsze politycznie grupy zawodowe otrzymały podwyżki wyższe, słabsze natomiast — niższe. Godzi to jeszcze w społeczne poczucie sprawiedliwości i utrudnia szybszą realizację podpisanych porozumień. Nie znalazła też nawet częściowego rozwiązania w polskiej umowie społecznej kwestia kierunków polityki rolnej. Jak dotychczas Polska stanowi w tym względzie przykład wywołujący osłupienie ekonomicznych ekspertów. Żyjemy w kraju, w którym subwencjonuje się nie produkcję żywności, lecz jej spożycie, a więc nie oddziaływuje się na przyczyny trudności, ale usiłuje się łagodzić jedynie ich skutki.

Dla Grocjusza treść umowy społecznej była kwestią drugorzędną, za pierwszorzędną uważał obowiązek dotrzymywania umowy. Dla sygnatariuszy polskiej umowy obie kwestie muszą być równie ważne. Według Grocujsza, umowa społeczna może ograniczać naród do zera, spychać go do poziomu niewolnictwa i oddziaływać nań przy pomocy strachu przed okrutnymi sankcjami władzy. Według postanowień polskiej umowy społecznej, wręcz przeciwnie: naród domaga się poszerzenia granic swoich uprawnień. U Grocjusza znajdujemy apoteozę silnej władzy reprezentującej interesy młodej burżuazji, w polskiej umowie społecznej opowiedziano się także za silną i zarazem demokratyczną władzą, ale działającą w interesie całego społeczeństwa. W świetle wyobrażeń Grocjusza społeczeństwo przekazało swoją władzę najsilniejszym i najmądrzejszym, w polskiej umowie społecznej potwierdzono kierowniczą rolę partii marksistowsko-leninowskiej. W obu jednakże przypadkach oczekiwania społeczeństwa są podobne: pragnie ono własnego dobra i właściwego zaspokojenia swoich potrzeb.

Grocjusz stał na gruncie aprobaty dla ustroju monarchicznego, króla uznając za centralną postać silnej władzy. W polskiej umowie społecznej znajdujemy zgodną aprobatę dla republikańskiej demokracji socjalistycznej, o ile pozostaje ona w praktyce wierna swoim ideowym zasadom. Grocjusz nie dawał jednoznacznej odpowiedzi w przedmiocie prawa do oporu społeczeństwa wobec monarchy łamiącego warunki zawartej umowy społecznej. Z jednej strony — przyznawał, że „według prawa natury wszyscy mają prawo do oporu w celu uchronienia się przed krzywdą". Z drugiej jednakże — podkreślał, że państwo może zabronić społeczeństwu korzystania z tego prawa ze względu na spokój publiczny i porządek. W polskiej umowie społecznej przyznano robotnikom prawo do strajku, będące odległym reliktem prawa do oporu, jednakże z ograniczeniami uzasadnionymi troską o żywotne interesy społeczeństwa i państwa.

Grocjusz miał ambicję rozciągnięcia mocy obowiązującej umowy społecznej także na stosunki międzynarodowe. Jako ojciec prawa międzynarodowego marzył o jednej wielkiej wspólnocie narodów tworzących harmonijną całość, mimo odmienności ich ustrojów politycznych. Polscy sygnatariusze umowy społecznej unikali starannie przenoszenia jej elementów poza granice kraju. Domagali się, aby polskie sprawy rozstrzygali sami Polacy.

Każda umowa społeczna, w tym także polska, jest próbą moralnego uzasadnienia obowiązków politycznych ciążących na jednostkach ludzkich — na tych, które władzę sprawują, i na tych, które jej podlegają. Wyjaśnia granice władzy i posłuszeństwa podwładnych samozobowiązaniem się, a więc autonomiczną decyzją stron uczestniczących w umowie. Gdy wcześniejsze koncepcje umowy społecznej były sugestywną fikcją, polska umowa społeczna ma wielkie szanse stania się realną rzeczywistością. Szanse te polegają przede wszystkim na wiernym realizowaniu obowiązku przestrzegania umowy. Wyrażać się powinny we współpracy rządzących i rządzonych, kierujących i kierowanych, władzy i społeczeństwa, partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i odrzucających religijną perspektywę światopoglądową. Szansą polskiej umowy społecznej jest cierpliwe przeobrażenie naszej ekonomiki, naszych struktur politycznych, naszej kultury i naszej moralności w duchu wierności temu, co rzeczywiście socjalistyczne i godne najszerszej aprobaty społecznej. Sam fakt zawarcia polskiej umowy społecznej jest wielkim wydarzeniem historycznym, jednakże jej rezultaty są na razie jedynie wielką naszą szansą. Aby szansa mogła stać się faktem, znakiem teraźniejszości musi być obowiązek przestrzegania umowy.

Roman Tokarczyk

Kamena str. 5

ODEJŚCIE POETY

(Słuchowisko radiowe)

Zbigniew Jerzyna

OSOBY: Poeta, Matka, Kobieta, Kobieta I, Kobieta II, Staruszka, Mecenas, Barman, Dziewczyna I, Dziewczyna II, Pochlebca I, Pochlebca II, Głos I, Głos II, Głos III, Głos z sali, Muza, Śmierć.

Sekwencja I

(Słychać gwar targowiska)

MATKA (*przedzierając się przez tłum*): Ludzie! Ludzie! (*przewraca jakiś garnek*) Urodziłam dziecko... Urodziłam dziecko!

GŁOS I: To mięso jest nieświeże... za drogo, paniusiu... za drogo...

GŁOS II: Sto pięćdziesiąt? Sto pięćdziesiąt? Chyba pan zwariował!

GŁOS III: Jeszcze dziesięć... i więcej nie daję.

MATKA: Ten mój brutalny chłop ,ten pijak zatracony... tamtej nocy nie posiadł mnie z miłości, ale zgwałcił, wziął mnie przemocą... i urodziłam...

GŁOS I: To stanowczo za drogo. Nic pani nie opuści?

MATKA: ...nie żołnierza, nie kowala, nie księdza, ani stolarza, ani kupca... ale poetę. Ludzie! Urodziłam poetę!

(narasta gwar targowiska)

MATKA: Te jego oczy — raz zielone, raz niebieskie. I mówi, mówi takimi czystymi słowami... (*po chwili*) O, patrzcie, z tego brzucha wydałam światu poetę... (*po chwili*) Ludzie! Uciszcie się... przestańcie handlować! Posłuchajcie?!

(cichnie gwar targowiska — słychać z daleka dobiegające dzwony)

MUZA: Słyszysz? Biją dzwony na powitanie. Głoszą chwałę na ziemskich wysokościach. To na twoją cześć, drobny i kruchy. Roznoszą hosannę po okolicy. Nawołują do Wielkiej Ciszy. Przecież ma się narodzić jakieś nowe słowo. A ty, drobny i kruchy, tak czule spoglądasz na świat. Na ile starczy ci tej tkliwości? Nim ci stwardnieją źrenice i skamienieje serce? Ale słuchaj, słuchaj maleńki. To dzwony miłowania. Zapamiętaj ten głos. *(wycichają dzwony — przez chwilę słychać kroki mężczyzny idącego po schodach)*

KOBIETA: Znów nie zaniosłeś bielizny do pralni... zepsuł się elektroluks... telewizor skrzeczy... Jestem zmęczona. Słyszysz? Jestem zmęczona. Wszystko na mojej głowie w tym domu. Wszystko. O wszystkim muszę myśleć. Ale to zupełnie do ciebie nie dociera. Jesteś zamknięty w sobie jak kamień. Czy ty kiedykolwiek pomyślałeś o mnie? Boże! Ja już dłużej tego nie zniosę. Ty ciągle śpisz. Chodzisz nieprzytomny. Ty nie nadajesz się do życia. Słyszysz? Kran przecieka w łazience. Pralnia.. elektroluks... telewizor... i jeszcze to. Dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego milczysz?

(po chwili)

Bardzo źle mówią o tobie. Mówią... że się skończyłeś. Wprawdzie zdolny... ale pijaczek... Tak, tak — nie zaprzeczaj. Tak mówią o tobie. Ludzie czują do ciebie pogardę. Nadwrażliwiec... subtelny poeta. Ty nie masz tej siły przebicia jaką ma Bryll. Poczekaj... Jeszcze nie skończyłam...

POETA: Mam tego wszystkiego dosyć. (*krzyczy*) Dosyć!

(Słychać trzaśnięcie drzwiami i płacz kobiety)

Sekwencja II

KOBIETA I: Jesteś zmęczony.
POETA: Tak.
KOBIETA I: Tyle lat cię nie widziałam...
POETA: Ja... widziałem...
KOBIETA I: Jesteś szczęśliwy?
POETA: Nie wiem...
KOBIETA I: Ja też.
POETA: Przyszedłem do ciebie.
KOBIETA I: Uciekłeś?
POETA: Tak.
KOBIETA I: I co?
POETA: Uciekłem do ciebie.
KOBIETA I: Uciekłeś do mnie?
POETA: Wróciłem do ciebie.
KOBIETA I: To nieprawda.
POETA: A pamiętasz?
KOBIETA I: Tak. To było w zbożu... w pełni lata...
POETA: Więc pamiętasz?
KOBIETA I: Nigdy nie zapomnę tych świerszczy... i rosy...
POETA: Miałaś potem mokre włosy...
KOBIETA I: Miałam mokre włosy...
POETA: To była pierwsza miłość.
KOBIETA I: Już nie ma pierwszej miłości.
POETA: Czy musisz być tak okrutna.
KOBIETA I: Muszę.
POETA: Dlaczego?
KOBIETA I: Chcę żyć.
POETA: To nieprawda.
KOBIETA I: Nie dotykaj mnie.
POETA: To nieprawda.
KOBIETA I (*błagalnie*): Odejdź!
POETA (*prawie krzyczy*): To nieprawda!
KOBIETA I (*błaganie przechodzące w błagalny krzyk*): Odejdź... odejdź... odejdź!

(słychać śpieszne kroki mężczyzny idącego po trotuarze)

KOBIETA II: Ach, to ty?
POETA: Ja.
KOBIETA II: Tak dawno.
POETA: To nie było wcale dawno...
KOBIETA II: Ile lat?
POETA: Trzy lata.
KOBIETA II: Ożeniłeś się?
POETA: Nie.
KOBIETA II: Ale nie jesteś sam?
POETA: Mieszkam z dziewczyną (*poprawia się*) z kobietą.
KOBIETA II: To nie jesteś sam.
POETA: Właściwie nie.
KOBIETA II: Ale że sobie nagle o mnie przypomniałeś... po tylu latach?
POETA: Uciekłem.
KOBIETA II: Jak to uciekłeś?
POETA: Uciekłem z domu...
KOBIETA II (*zdziwiona*): Uciekłeś z domu? Do mnie?
POETA: Wydaje mi się... że ty... że to była jedyna dojrzała miłość w moim życiu.
KOBIETA II: Dojrzała miłość?... (*po chwili*) Po spotkaniu ciebie — już potem nigdy nie byłam szczęśliwa.
POETA (*naglące*): A co ze mną?
KOBIETA II (*po namyśle*): Z tobą?... Z tobą po prostu byłam.
POETA: Bo widzisz...
KOBIETA II: A więc uciekłeś z domu?
POETA: Tak.
KOBIETA II (*prawie z zazdrością*): Ty masz dom.
POETA: To nie jest dom.
KOBIETA II: ?...
POETA: To tylko jest mieszkanie.
KOBIETA II: Mieszkam sama i już nigdy...
POETA: Dlaczego to wszystko między nami się skończyło?
KOBIETA II: Nie wiem.
POETA: Próbowałem zrozumieć.
KOBIETA II: Ja też.
POETA: Próbowałem zrozumieć i zawsze mi brakowało...
KOBIETA II (*zdecydowanie*): Nic nie brakowało. Tego wszystkiego było za dużo jak na nas dwoje.
POETA: Nadmiar?
KOBIETA II: Tak. Nadmiar.
POETA: Przez te lata bardzo brakowało mi ciebie...
KOBIETA II (*protestuje*): Nie.
POETA: Potrzebowałem twojej pomocy...
KOBIETA II: Nie.
POETA (*coraz bardziej gorączkowo*): Chciałem się do ciebie przytulić...
KOBIETA II: Nie.
POETA (*j.w.*): Chciałem poczuć w sobie twoje ciepło...
KOBIETA II (*krzyczy*): Nie! Jestem cała rozdygotana... muszę pozbierać myśli... Nie! Odejdź!

(po chwili słychać śpieszne kroki mężczyzny po trotuarze)

STARUSZKA: Nic się nie zmieniłeś. Wciąż taki młody...
POETA: Ale w środku... w środku posiwiałem...
STARUSZKA: Co ty bajdurzysz? Napijesz się kawy?
POETA: Tak, napiję się kawy.
STARUSZKA: A może lepiej czegoś mocniejszego?
POETA: Lepiej czegoś mocniejszego.
STARUSZKA (*nalewa do kieliszka*): Jak się zaczynał ten werset? No, przypomnij mi.
POETA: „Ciężka szczelna kotara na drzwiach".
STARUSZKA: Tak... Tak... To jest Lermontow?
POETA: Nie. Blok.
STARUSZKA: A jak było dalej?
POETA: „Za oknami mgły śnieżne, mgły mleczne".
STARUSZKA: To piękne. Ale nie bądź skąpy i dokończ tę strofkę.
POETA: „Co zostało z twej swobody
niedorzecznej
Don Juanie, gdyś poznał strach".
STARUSZKA: To piękne, ale smutne. (*po chwili*) A właściwie po co ty do mnie przyszedłeś?
POETA: Chciałem odwiedzić...
STARUSZKA (*ze zdziwieniem*): Odwiedzić starą kobietę?
POETA: To ja już pójdę... o, tam jest palto...
STARUSZKA: Idź... tak będzie lepiej... idź... (*po chwili*) Tylko pamiętaj... dbaj o siebie.

(słychać kroki mężczyzny, który się przechadza, oczekując na kogoś)

MECENAS: Witam wybitnego poetę... serwus...
POETA: Witam mecenasa sztuki...
MECENAS: Co słychać?... minę mamy nietęgą... trzeba się rozluźnić... rozchmurzyć...
POETA: Jestem zbyt rozluźniony...
MECENAS: Zaraz połatamy te wszystkie dziury... rozdarcia duszy... przyniosłem forsę?!...
POETA: Całość czy zaliczka?
MECENAS: Oczywiście zaliczka... ja daję tylko zaliczki...
POETA: Wolałbym całość.
MECENAS: Nie, kochasiu... hola!... Dam ci całość i już cię więcej nie zobaczę. I nie zobaczę tego kawałka, który przyrzekłeś mi napisać...
POETA: Ile to ma być stron?
MECENAS: Tu nie chodzi o strony... chodzi o siłę wyrazu... o właściwą tendencję...
POETA: Dobrze... proszę o zaliczkę...
MECENAS (*liczy*): Tysiąc... dwa... trzy... cztery...
POETA: Dziękuję.
MECENAS: Zaraz... zaraz... jeszcze podpisik... no i podatek.
POETA: Podatek osłabi siłę wyrazu mojego poematu...
MECENAS: Oj, dowcipniś... dowcipniś z ciebie...

(po chwili)

POETA: Pewnych rzeczy nie mogę zrozumieć.
MECENAS: To oczywiste, że nie rozumiesz pewnych mechanizmów, sprężyn...
POETA: Właśnie, nie rozumiem działania tych mechanizmów, sprężyn...
MECENAS: Ty pisz. Od mechanizmów i sprężyn jesteśmy my... my!
POETA: I muszę wam wierzyć?
MECENAS: Niekoniecznie.
POETA: Więc co?
MECENAS: Jesteś z nami i nie musisz wierzyć. Pisz!
POETA: O czym?
MECENAS: To ja mam ci podpowiadać? Przecież ty jesteś poetą...
POETA: Mam teraz forsę. Poczuję się bardziej swobodny.
MECENAS: No, widzisz?
POETA: Będę miał większą swobodę manewru...
MECENAS (*jakby nie dosłyszał*): Co?
POETA: ...swobodę manewru.
MECENAS: Ja tak lekką ręką daję ci forsę, a właściwie nie wiem, z kim ty ostatnio trzymasz: czy z tymi z Krakowskiego Przedmieścia, czy z tymi z Placu Trzech Krzyży? No, przyznaj się...
POETA: Staram się być niezależny...
MECENAS: Chłopie, na jakim świecie ty żyjesz?
POETA: Na tym najlepszym ze światów.
MECENAS: Hm... tak... tak... ale na mnie już czas... cześć, powodzenia... złam pióro...
POETA (*ze zdziwieniem*): Złam pióro? Złam pióro?

Sekwencja III

(Gwar knajpy)

POETA: Tłumnie tu dzisiaj...
BARMAN: Mistrz dawno nie był... ożywiło się ostatnio...
DZIEWCZYNA I: Ale ten ma pieniążków?!
DZIEWCZYNA II: Milutki... krasnoludki też by się napiły...
POETA: Nikt o mnie nie pytał?
BARMAN: Nikt.
POETA: To dobrze... jeszcze jedną...
DZIEWCZYNA I: No, nie bądź taki skąpy...
DZIEWCZYNA II: O, popatrz, co ja tutaj mam... nie jesteś ciekawy?
POETA: Niech pan da trzy małe wódki...
DZIEWCZYNA I: Ty nie masz pojęcia jaka jestem cieplutka...
POETA: Twoje zdrowie Loreley!
DZIEWCZYNA I: Co ty mówisz?
POETA: ...Loreley...
DZIEWCZYNA II: On głupstwa plecie.
DZIEWCZYNA I: Dlaczego nas obrażasz?
POETA: Więc inaczej... twoje zdrowie Beatrice!
DZIEWCZYNA I: Jestem Wanda.
POETA: Nie... Jesteś Laura.
DZIEWCZYNA I: Mówię ci jasno... jestem Wanda.
POETA: Maryla...
DZIEWCZYNA II: Mam gdzieś jego wódkę... wychodzę...

POETA: To idź... dwie wódki panie barman.
DZIEWCZYNA I: Jesteś trochę dziwny... (po chwili) Chcesz żebym została?
POETA: Daj mi rękę... masz bardzo ładne ręce...
DZIEWCZYNA I: Zniszczone.
POETA: Nie... masz ładne ręce.
DZIEWCZYNA I: Ale mi zapłacisz?
POETA: Tak... patrz ile tego mam...
DZIEWCZYNA I: To mi postaw Napoleona... dużego...
POETA: Dobrze... panie barman...
DZIEWCZYNA I: Myślałam, że ty jesteś frajer, a ty jesteś rajcowny facet.
POCHLEBCA I: Cześć!... co za niespodzianka?
POCHLEBCA II: Cały dzień cię szukaliśmy...
POETA: Cześć!... jestem z panią...
POCHLEBCA I: To nie szkodzi... wychylimy drinka i spływamy.
POETA: Panie barman...

(orkiestra zaczyna grać upojne tango)

DZIEWCZYNA I: Co to za faceci?
POETA: Koledzy... koledzy po piórze.
DZIEWCZYNA: Jesteś już trochę zawiany.
POETA: Chyba nie?
POCHLEBCA I: Znakomite wiersze wydrukowałeś w „Kulturze".
POETA: Tak sądzisz?
POCHLEBCA I: To jest lepsze od Słowackiego...
POETA: Nie przesadzaj... (*po chwili*) Panie barman...
POCHLEBCA II: Twardy ten łosoś... (*po chwili*) Moja matka, stary, czytała twoje wiersze. I powiedziała, że przekonały ją one do współczesnej poezji.
DZIEWCZYNA I: O czym wy mówicie?
POCHLEBCA I: Jeszcze jedną kolejkę... panie barman... stawia największy poeta w naszym kraju.
POETA (*już dobrze podpity*): Przestań! mówię teraz poważnie: ja przyszedłem tutaj, żeby powiedzieć n i e! — żeby krzyczeć n i e!
DZIEWCZYNA I (*z troską*): Napij się coli, to ci przejdzie...
POETA: Zostaw mnie... masz tu forsę i spływaj!
DZIEWCZYNA I: Nie.
POCHLEBCA I: Jesteś największym poetą w Europie.
POETA: Panie barman... po sto gram.
DZIEWCZYNA I: Jak Boga kocham, zaraz spadnie z tego stołka.
POETA (*prawie bełkocze*): Jesteś? Jeszcze jesteś?
DZIEWCZYNA I: Co ci się stało?
POETA: Nic... nic...
POCHLEBCA II: Jesteś największym poetą na świecie...
POETA (*sennie*): Dobrze... dobrze...
POCHLEBCA II: Ty, obudź się... słuchaj... jesteś największym poetą wszechczasów...
POETA (*z siłą — jakby w olśnieniu — krzyczy*): Bóg jestem!

(orkiestra przestaje grać — nagła cisza)

GŁOS Z SALI (*ponury, brutalny*): Tylko patrzcie, jak zaraz dam mu w mordę.
(Słychać uderzenie i łoskot spadającego ciała)
DZIEWCZYNA I (*krzyczy*): Zostawcie go! Nie wolno!
GŁOS Z SALI: Milcz dziwko! Popatrz lepiej na swojego boga.

(metaliczne, mechaniczne dźwięki i potem nagła cisza)

POETA: To ty jesteś śmierć?
ŚMIERĆ: Tak.
POETA: Nie wiedziałem, że masz oczy... że masz oczy bez powiek...

(po chwili)

W tych oczach znajduję coś znajomego... coś zapamiętanego z dzieciństwa... zaraz... to coś było w oczach mojej matki...
ŚMIERĆ: Tak. W oczach twojej matki.
POETA: Wydaje mi się, że mówisz. Ale to ja rozmawiam sam z sobą. Ty jesteś cała z ciszy.

(chwila ciszy)

Nie boję się ciebie... mam nad tobą przewagę... przewagę słowa.
ŚMIERĆ: Naprawdę się mnie nie boisz?

(po chwili)

POETA: To ty jesteś śmierć?
ŚMIERĆ: Tak.
POETA: Nie wiedziałem, że masz oczy... oczy bez powiek...
ŚMIERĆ: Patrzę... bez przerwy patrzę.
POETA: Ale nie boję się ciebie... mam nad tobą przewagę, przewagę słowa...
(w przez chwilę trwającą ciszę wtargnął nagle gwar targowiska; przez ten gwar przebija się głos poety)
POETA: Chcieliście, żebym odszedł. Psułem wam wasze interesy. Wasze szachrajstwa, kłamstwa, nieuczciwość. Wasze udawanie, kompromisy. Waszą nieczułość, bezwzględność, głupotę. Psułem wam dobrą zabawę. Chcieliście, żebym odszedł. (*po chwili*) Ale nie! Zostanę tutaj. Zostanę tutaj z wami. I będę mówił do was... będę mówił tak długo aż wreszcie poruszy się wasze serce.

(po chwili)

Nie czekajcie na moją śmierć. Umarły... będę groźniejszy.

LUBELSKIE POWINOWACTWA

W roku 1978 Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie pozyskała od kilkudziesięciu pisarzy z całego kraju wypowiedzi o związkach ich biografii i twórczości z Lubelszczyzną. Planowano bowiem wydanie informatora na ten temat. Ponieważ edycja nie doszła do skutku, przeto — za zgodą autorów — publikujemy niektóre teksty (lub ich fragmenty) w wyborze i opracowaniu Macieja Podgórskiego i Jana Smolarza.

Red.

JERZY KSIĘSKI

KAŻDY napisany wiersz jest wspomnieniem. Wspomnieniem o kimś, o czymś... Przywołuje odległe nastroje, ożywia krajobraz. A tu podkusiło mnie, żeby napisać o spotkaniu w Lublinie po latach nieobecności, napisać najzwyklejszą prozą. A było to tak. Zaraz po przyjeździe szliśmy z kolegą z TV Andrzejem Cholewą tym samym Krakowskim Przedmieściem. Zegar na Bramie wolniutko dobijał do godziny drugiej. Bezwiednie skręciłem w kierunku Teatru.

— Zaraz zobaczysz — powiedziałem do Andrzeja — skończyła się próba w „Osterwie", na rogu powinni stać koledzy, dyskutujący z pasją, czy iść na prawo, czy na lewo.

Istotnie. Na sławetnym rogu stali ci sami co zawsze: Marian, Staszek, Karol, Maciek... Powitaliśmy się tak, jak gdybym wyjechał stąd przed tygodniem i wrócił z krótkiej podróży. Wszyscy czterej śpiewali ongiś moje piosenki, recytowali wiersze, bowiem wbrew pozorom najczęściej spotykaliśmy się w studio słuchowiskowym na ulicy 22 Lipca, a później w nowym gmachu Rozgłośni przy ul. Obrońców Pokoju. Zapytałem:

— Gdzie się teraz chodzi pogadać, na Pstrowskiego, czy na Narutowicza?

Poszliśmy na Narutowicza.

I tak — jak gdyby po krótkiej nieobecności — było przez kilka dni. Jedynie na LSM-ie drzewka, których korony oglądać było można z okien drugiego piętra, strzeliły w górę, przerastając najstarsze bloki „Słonecznego Wzgórza".

Przez kilka lat, już we wrocławskiej Rozgłośni Polskiego Radia realizowałem autorski cykl mikrosłuchowisk „Zielone... jak śnieg". I w trakcie pisania (a była to proza, wiersz, piosenka i wszystko razem) jakże często jawiły się w mojej pamięci pejzaże ziemi lubelskiej, rzeki, małe miasteczka, te, w których „stare rynki szumią jak dźwięki katarynki".

I zdarzyło się tak, że „nierealny" marynarz wód słodkowodnych znajdował się gdzieś nad srebrzystą rzeczką Tanwią, zieloną Huczwą, czy buro-szarym Wieprzem (z dopływem Świnki).

Jawią się nagle w pamięci radiowe wodewile, pisane wspólnie z Januszem Danielakiem. O lubelskim Słomianym Rynku, „Kazimierzu Dolnym i Wielkim", czy nałęczowski — „Miłość-Zdrój".

Co z tego pozostało, co się zmieniło? Nie wiem i wiem, jak dzisiaj wyglądają Bełżyce, Krasnystaw, Biłgoraj, Tyszowce, Łęczna czy Hrubieszów. Wiem, że spotkałbym tam wielu ludzi, których nie zdążyłem poznać, nie wiem, czy zastałbym tych, którzy nadawali ton i fason, którzy potrafili cudownie błagować, śpiewać, rzeźbić w drewnie, wzdychać i mówić „Ece, panie..."

Nowe krajobrazy nie przestaniają starych. Wyobraźnia pomaga nam zobaczyć ludzi, zdarzenia i sprawy w różnych wymiarach.

Przed wyjazdem wstąpiłem do zacnego pana Kazimierza Borowieckiego na Królewską. Był jak zwykle za ladą sklepu instrumentów muzycznych i powitał mnie słowami: „Witam, witam, ale pańska cytra jeszcze nie jest zreperowana. O, tutaj stoi". I było tak, jakbym wyjechał na krótko, a to chyba już na życie całe. Ludzie, miasta, miasteczka, rzeki, łąki, drzewa i lasy — bądźcie tacy sami i takie same.

Stopniowanie w dół

Dokończenie ze str. 1

nadrealizmem, a więc na dobrą sprawę Baudelaire'a, Rimbauda, a przecież i Appolinaire'a. Żaden „izm" — i formalizm i estetyzm — nie kompromituje się sam przez się, jedynie przez nieowład artystyczny swoich wyznawców, przez niedorozwój świadomości swoich odbiorców. Każdy na swój sposób daje możność kontaktu z najgłębszymi prawdami człowieka. Jeśli mamy do czynienia z prawdziwą twórczością. Poza tym — terminem „braku związku z życiem" na tyle często posługują się specjaliści od zawężonych horyzontów umysłowych, że go spokojnie można uznać za parawan ignorancji i braku artystycznej wrażliwości. Czytając książkę, nie dociekam, czy ma „związek", czy go „utraciła". Obchodzi mnie jedynie, czy mi coś mówi. Jeśli tak, to już jest realistyczna. W znaczeniu jeśli nie stylistyczna, to filozoficzna: jako świadectwo jednokładności myśli z rzeczywistością. Również tą pozanamacalną. Nie jest możliwe, żeby istniały realia opisane w „Zamku" Kafki. Ale że człowiek obraca się w kręgu spraw sobie nieznanych, nie ulega wątpliwości. Realizm to nie otwarte oczy. Jeszcze kwestia, co przez te oczy się widzi. Cielę zagapione na malowane wrota ma oczy otwarte. Także sroka w kość.

Więc co mam do zarzucenia współczesnej literaturze? Nikły rezonans czytelniczy? A niech sobie będzie najniklejszy, byle sama była dobra. Jakości artystycznych nie mierzy się arytmetyką. Niedawno uczestniczyłem w publicznej rozmowie o pewnych zjawiskach kulturowych w naszym mieście i do krytycznych uwag w tym względzie dorzuciłem pytanie, czy przypadkiem nie jesteśmy świadkami procesu, któremu na imię zanik zapotrzebowania na kulturę. Wtedy mnie przelicytowano. Że kolejki w poczekalniach kin, że tłoki przed ladami księgarń. Że. Więc proszę państwa, skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Gdzie ja w atmosferze społecznej widzę rezultaty lektury Tatarkiewicza, Wyki, Doroszewskiego? Z powodzeniem, wchodząc do trolejbusu, mogę być wypchnięty przez kogoś, kto ma w teczce „Dzieje sześciu pojęć" nabyte przed godziną. Więc co mi statystyka obrotów w księgarniach? Poza tym niektóre objawy aplauzu ze strony odbierającej publiczności są tak osobliwe, że na ich podstawie wniosek o zapotrzebowaniu na dobra kultury można wysunąć tylko stawiając do góry nogami normalne kryteria oceny. Na przykład — telewizja niekiedy transmituje — widownię na imprezie rozrywkowej. Co się dzieje? Rytmiczne — nie brawa — masowe, stadne, furiackie bicie w dłonie, gesty daleko poza granicami norm zachowania się w miejscu publicznym, a jeśli tego za mało, to marynarki wędrują pod sufit. Czy naprawdę ulegniemy złudzeniu, że program „rozrywkowy" tak zachwycił publiczność? Takie bogactwo świetności? Na odwrót, takie ubóstwo prawdziwej rozrywki i prawdziwych przeżyć, że widz, skoro już zapłacił za bilet, na siłę sobie wmawia, że jest rozbawiony. Do wrzasków słyszanych z estrady chce dodać wrzaski własne i w ten sposób zagłuszyć rzekome doznania. Jeśli więc statystyka zakupów w księgarniach i wypożyczeń w bibliotekach ma świadczyć o popularności literatury, to świadczy na podobieństwo marynarki pod sufitem.

I nic dziwnego, bo sama literatura nie dba o inny sposób jej przyjmowania. Już się dawno nie mówi o pisarzu jako o inżynierze dusz — co było określeniem aczkolwiek związanym z okresem schematyzmu, to jednak w swej przedmiotowej wymowie godnym aprobaty — nawet nie jako o techniku. Mówi się o rzekomo godnej pochwały autodegradacji literatury, która rzekomo słusznie rezygnuje z przyznanych jej kiedyś, w dziewiętnastym wieku, zbyt wysokich przywilejów. Następuje osobliwe zjawisko, akurat negatyw poprzedniego. Kiedyś dane pisarstwo zasługiwało na tym większą uwagę, im rygorystyczniej — oczywiście nie poza środkami artystycznymi — wysuwało wymagania samowychowania, wysiłku, doskonalenia się wewnętrznego. Dziś literatura mówi: „Szaraczku, jestem jak ty uwikłana w przeciętność i jak ty nie potrafię się z niej wyplątać, podaj mi dłoń, jedziemy na tym samym wózku". Gdzie dziś moralne, humanistyczne wzory postępowania z natury rzeczy należne czynności trafiania słowem w ludzką wrażliwość? Słowacki marzył o przerobieniu zjadaczy chleba w aniołów. „Reflektor" — toutes proportions gardees — żądał, by „zjadaczy chleba bić w mordę, jeśli ich w aniołów przerobić nie można". Dziś współczesna literatura niemal przeprasza, że żyje. Coś wysunąć jako postulat? Czegoś żądać? Coś zaproponować? Skądże, to — zdaniem autorów — rozminąć się z odbiorem, od razu przekreślić społeczną przyswajalność utworu. I filozofia dzieła litrackiego dziś rezygnuje z roli awansowania czytelnika. Na odwrót: stara mu się wykazać, że tak samo jak on chętnie poszłaby na piwo. Gra na najpospolitsze nawyki i postawy, na brak ambicji. To jest blisko „życia". Kiedy czytam współczesną powieść, wiem, że będzie jakaś damska dłoń wędrująca w górę uda mężczyzny prowadzącego auto, naskok na samochód z zagraniczną rejestracją, w którym znajduje się aparat fotograficzny, magnetofon, adapter, coś tam jeszcze z ekwipunku współczesnego playboya. Nawet układny i bardziej zainteresowany w dociekliwości krytyczno-literackiej, aniżeli w ferowaniu epitetów, Michał Sprusiński pisarstwo Bratnego nazywa brulionem sensacji. Nachylenie ku komiksowi — oto kierunek rozwojowy młodej i odmładzającej się literatury. Zejście ku mieliźnie tuzinkowych gustów — to uważa za zwrot ku czytelnikowi. Muszę już pogodzić się z tym, że nie dostanę do ręki czegoś, co by przypominało czytelnicze zadowolenie przyniesione mi kiedyś przez „Mury Jerycha" Tadeusza Brezy, „Pożegnania" Stanisława Dygata, „Kalendarz i klepsydrę" Tadeusza Konwickiego. Na inne nastawienie czytelnicze nastawiona jest literatura.

Na drugorzędnego czytelnika może liczyć tylko trzeciorzędny autor. Ale ten właśnie poczytuje to sobie za szlachetną rezygnację, jak za szlachetną rezygnację przyjmują autorzy wierszy fakt, że ich wiersze nie różnią się od prozy. I by tej rezygnacji dać spektakularny wyraz, tekst faszeruje się zwrotami obscenicznymi, skatologicznymi, pornograficznymi, że utwór literacki wygląda jak katalog odezwań i zachowań się praktykowanych przez członków bandy „urwanego rękawa". I autor na tym chce zbić kapitał popularności. Niemal słychać w każdym jego słowie: „Patrzcie, jaki jestem antypruderyjny, niczego nie upiększam, nie pozwalam sobie na toniki mentorskie, jestem jednym z was, czytajcie". I tak reklamowany cukier niech sobie nie krzepi, byle był kupowany.

Ten temat publicystyka literacka obchodzi na palcach. Jest w ogóle niemrawa, ale nawet kiedy następuje jakieś ożywienie, jak np. w obliczu wyborów do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, główne kierunki wypowiedzi kierują się gdzieś w stronę spraw personalnych, lobbystycznych, jakby rozwój literatury w najmniejszym choćby stopniu zależał od kwestii, kto będzie otwierał posiedzenia. Nie ma nikogo, kto by się upomniał o coś z pryncipiów. Krytyka, jeśli od czasu do czasu budzi się z letargu, sporządza bilans, nigdy preliminarz. A ambicja młodej i w ogóle współczesnej prozy wcale nie jest tego rodzaju, by ferować postawy światopoglądowe, lecz by wejść ze swoim produktem na rynek. Obojętne jakie przy tym czyniąc ustępstwa, do jakich dostosowując się zapotrzebowań. Zamiast sama te zapotrzebowania powodować. Mówi się o spadku rangi literatury? Powodują to sami literaci. Co do mnie, u progu nowego roku 1981 pragnąłbym, by ostatni rzeczownik tę grupę ludzi obejmujący, przyszłość i to niedaleka uwieńczyła wyraźnym cudzysłowem.

Zygmunt Mikulski

Kamena str. 7

Henryk Makarski

SEN VII

Rafałowi Patrynowi

ostrożne jest naczynie o miedzianych ścianach
może to nie naczynie a miedzianoczoły
Heros — ta pusta przestrzeń która nas otacza
która zaciska zęby jak bramę za nami
kiedy wreszcie dobrniemy na szczęśliwe wyspy
by toczyć monologi pozbawione echa

echo wyschło natychmiast w blasku wrzącej miedzi
w oparach najjaśniejszych promieni Herosa
który krąży nad głową jak sęp nad rannymi
albo raczej jak ślepy okrutny cień sępa
bo jest on i go nie ma — któż to może wiedzieć
czy można z cienia lęku istnienie rozpoznać?

zostaje po nim tylko nieruchomy błękit
w nim płochliwa nieważkość — pocisk twego oka
oko zawraca z drogi wiodącej do nikąd
i znów się pławisz w morzu ciężkiego powietrza
rybo wysokich lotów — milczący zajęcu

SEN XXXIX

i zanim się przebudzę jeszcze w śniegu tonę
w milczeniu zimnym białym jak śmiertelny oddech
a na środku ekranu trzepot wróblich skrzydeł
ustaje i za chwilę jest letargiem głodu
początkiem ptasich ćwierkań — ideą fruwania
sowa staje się dziuplą — skowronek przedświtem
a słowik bzu gałązką — jaskółka źdźbłem gliny
motyl kurczy się w kokon — ryba w ikrę wraca
wszystkie byty żyjące zawracają z bieżni
jak po głuchym falstarcie — jeszcze raz uklęknąć
w dołkach które nawzajem pod sobą wykopią

i ja siebie też widzę jak wracam do źródeł
dzieciństwa -- jeszcze dalej — do pierwszego krzyku
aż do ciemnicy brzucha — do spazmu plemników
roztańczonych szaleńczo w milczącej ekstazie
potem jeszcze cień widzę — on także powraca
a potem jeszcze słyszę echo mego cienia
ale i ono wraca do praźródła źródeł
do dziewiczej przestrzeni ciemnego milczenia

Manhattan Mysłowskiego

TADEUSZ Mysłowski urodził się na Lubelszczyźnie, w Lublinie też uczęszczał do Liceum Sztuk Plastycznych, aby ukończyć krakowską Akademię Sztuk Pięknych w 1969 r. Od dziesięciu lat mieszka w Nowym Jorku, biorąc udział w poważnych imprezach artystycznych, urządzanych np. w Institute for Art and Urban Resources (tzw. PS 1) czy w prestiżowej galerii Johna Webera w Nowym Jorku. Wystawia również w Polsce, ostatnio na Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie i w lubelskiej galerii „Labirynt" (1980). Inspirując się konstruktywizmem, przede wszystkim w wydaniu Kazimierza Malewicza (którego fotografia wisi w jego pracowni w budynku PS 1), i po trosze konceptualizmem, stosując w swej działalności techniki fotograficzne i komputerowe — T. Mysłowski zdobywa odrębne miejsce we współczesnej sztuce amerykańskiej, czego dodatkowym dowodem recenzowanie jego wystaw przez takie cenione czasopisma, jak „Art Forum". Uznaliśmy więc za celowe przedstawienie ideologii i metodologii twórczości autora teki grafiki pt. „Avenue of the Americas", przedrukowując obszerne fragmenty wywiadu przeprowadzonego z T. Mysłowskim przez Ronny H. Cohen i opublikowanego w nr 2 „The Print Collector's Newsletter" z ub. roku. (K)

RONNY COHEN: — W ciągu ostatnich 10 lat Nowy Jork był pańskim głównym punktem oparcia i wywarł istotny wpływ na pańską sztukę. W jednej ze swoich ważniejszych prac tego okresu, „Avenue of the Americas", obejmującej 20 grafik, zajmuje się pan między innymi doznaniami i przeżyciami związanymi z tym miastem. Czy pamięta pan swoje pierwsze zetknięcie z Nowym Jorkiem?

TADEUSZ MYSŁOWSKI: — Jak mógłbym zapomnieć?! Najpierw zobaczyłem Nowy Jork z samolotu i proszę mi wierzyć: ten widok całkowicie zmienił moją wizualną percepcję rzeczywistości. Tym, co w pierwszej chwili zwróciło moją uwagę, były dominujące w strukturze miasta kierunki pionowe i poziome. Do Paryża przybyłem także samolotem, ale Paryż, ponieważ rozbudowywany jest w wielu kierunkach, poczynając od środka niczym gwiazda, przedstawia z góry zupełnie inną konfigurację. Nowy Jork jest bardzo prosty i uporządkowany, a jego struktura opiera się w pewnym stopniu na siatce krzyżujących się linii. Zrozumiałem natychmiast, że muszę poznać sposób budowy struktury Nowego Jorku i gdy tylko zamieszkałem tutaj, zacząłem zbierać wszystkie dostępne informacje na temat miasta, przede wszystkim takie, jak mapy, fotografie dokonywane z lotu ptaka itd.

RC: — Ale co pana tak pociągało w strukturze miasta rozumianej jako problem? Czy był to sposób na poznanie się i oswojenie ze swoim nowym domem?

TM: — Tak, chciałem zrozumieć tę nową rzeczywistość, do której właśnie wkroczyłem, której częścią miałem się stać i która miała wpływać na moje życie na każdym poziomie, a więc na poziomie ekonomicznym, społecznym i zawodowym. Czyniąc strukturę miasta moim problemem, sądziłem, że będę mógł poznać je lepiej i zrozumieć swój stosunek do Nowego Jorku.

RC: — Pańskie podejście do istoty formy lub sytuacji poprzez badanie struktury brzmi dla mnie bardzo konstruktywistycznie, podobnie zresztą jak pańska decyzja uczynienia chwili obecnej przedmiotem swej sztuki.

TM: — No, byłem bardzo blisko konstruktywizmu, studiując polskie, rosyjskie i inne wschodnioeuropejskie ekspresje tego ruchu na początku XX wieku — wie pan, prace Malewicza, Rodczenki, Moholy-Nagy i pozostałych. Dzielę również z nimi punkt widzenia, że sztuka powinna zajmować się bezpośrednio współczesną rzeczywistością. Jednak zdając sobie sprawę, że ich wcześniejsze doświadczenie było pomocne, musiałem sam sformułować ten problem, jaki stanowi dla mnie współczesna rzeczywistość Nowego Jorku.

RC: — Jak pan postępował?

TM: — Jak już wspomniałem, zacząłem od badania struktury, którą widziałem z samolotu, oglądając fotografie samolotowe różnych części Nowego Jorku, a następnie mapy tych samych obszarów. Bardziej mi odpowiadały ściślejsze informacje zawarte w mapach. Spędziłem również mnóstwo czasu, spacerując po mieście. Moim celem było zobaczyć miasto z rozmaitej perspektywy. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że Nowy Jork posiada wszystkie rodzaje architektury, jakie istniały w ciągu minionych 200 lat, zaś sąsiedztwo stylów i struktur dawnych i współczesnych bywa często zaskakujące i dramatyczne.

RC: — Tak, to jest to, o czym mówi się podczas wycieczek zwiedzających pieszo miasto, a organizowanych przez rozmaite miejskie towarzystwa przyjaciół sztuki i ochrony zabytków.

TM: — Bez wątpienia. Ale przyjeżdżałem ze wschodniej Europy i w niewielkim stopniu interesował mnie ten aspekt sprawy, ponieważ widziałem nagromadzenie starych stylów w strukturze takich miast, jak Warszawa i Paryż. Nie było to dla mnie niczym nowym. Tym razem mój cel stanowiło poszukiwanie struktur współczesnego Nowego Jorku lub Ameryki i znalezienie najczystszych tego wyrazów. A przez to rozumiem taką ich postać, która jest uwolniona od przeszłości.

RC: — Gdzie pan znalazł najczystszą ekspresję tej struktury? Na Manhattanie?

TM: — Na Szóstej Alei, która jest również zwana Avenue of the Americas. [Aleją Ameryk]. Tam zobaczyłem problem współczesnej struktury Nowego Jorku, bowiem w tym obszarze przyjmuje ona najbardziej uderzającą formę wizualną — szczególnie na przestrzeni od 59 Ulicy przez południową część Parku Centralnego, aż do 14 Ulicy. Ten obszar stanowi ognisko mojego projektu.

RC: — Innymi słowy, te pionowe i poziome kierunki, które pan znalazł jako wyróżniające się w strukturze Nowego Jorku widzianej z lotu ptaka, znajdują najczystszy wyraz w strukturze sieci krzyżujących się linii Sixth Avenue.

TM: — Właśnie tak. A tym, co okazało się także bardzo interesujące w Szóstej Alei, był sposób, w jaki obecna jej struktura powstała poprzez obalenie poprzednio istniejących budynków i zbudowanie, na miejscu wcześniejszego eklektycznego stłoczenia dawnych stylów architektonicznych, serii budynków biurowych w postaci drapaczy chmur reprezentujących obecny jednolity styl.

RC: A drapacze chmur, oczywiście od początku dwudziestego wieku, stanowią symbol nowoczesności, dzisiejszej rzeczywistości.

TM: — Tak. Uważam drapacze chmur rozmieszczone wzdłuż Szóstej Alei, szczególnie te znajdujące się w pobliżu 50 Ulicy, za styl architektoniczny dnia dzisiejszego, za strukturę odpowiadającą celom mojego projektu. A w tym czasie — było to około roku 1972 — zdefiniowałem ten projekt jako badanie Szóstej Alei, stanowiącej najczystszy wyraz współczesnej amerykańskiej struktury miejskiej spośród tych, jakie widziałem (...) Skoncentrowałem się na pewnym fragmencie tej trasy, ograniczając ją przestrzennie do kilku bloków, powiedzmy, od 53 do 57 ulicy, który to obszar jest zabudowany dokładnie na planie krzyżujących się linii. Mój pierwszy rysunek, który stanowi klucz do całego zbioru grafik, jest dwuwymiarową interpretacją takiej struktury (...)

RC: — Czy interesowały pana „Broadway Boogie-Woogie Series" Mondriana, które również zajmują się strukturą Nowego Jorku?

TM: — Tak, jako przykład dawnych rozwiązań. Minimaliści, tacy jak Mies von der Roche, Mondrian i inni, pomogli mi lepiej uzmysłowić sobie mój problem i przejąć od nich formę i strukturę kratownicy. Ale ja zacząłem następnie stosować kratownicę na swój własny sposób, czyniąc ją zasadniczym narzędziem badawczym i fundamentem tego problemu.

RC: — Wracając do kluczowego rysunku: po tym, co pan powiedział na temat współzależności własnych doznań z Szóstej Alei z problemem mapy, wydaje się, iż podobieństwo tej pracy do mapy (planu) jest więcej niż oczywiste.

TM: — Kiedy zestawi się tę pracę z mapą (planem) tego obszaru, wówczas naprawdę widać, jak rysunek podobny jest do mapy. I podobnie jak mapa, ten rysunek jest wizualnym i uogólnionym obrazem planu miasta, w którym indywidualne budynki nie odgrywają roli.

RC: — Czy istniał jakiś określony powód, aby stosować w tym projekcie technikę fotograficzną?

TM: — Tak. Stosując technikę fotograficzną, zauważyłem, że myślę o badanym problemie w zupełnie inny sposób, niż kiedy mam do czynienia z klasycznym rysunkiem. O fotografii myślę w kategoriach rdzeni słów: phos — światło i graphikos — pisanie. Dlatego dla mnie fotografia jest pisaniem lub rysowaniem za pomocą światła w czerni i bieli.

RC: — W jaki sposób używał pan fotografii w tych drukach?

TM: — Skonstruowałem grupę pojedyńczych rysunków rysowanych na filmie octanowym za pomocą tuszu, opartych na strukturze siatki przecinających się linii w rysunku kluczowym. Następnie przeniosłem moje badania do ciemni projekcyjnej. W tym czasie pracowałem w studio fotograficznym, tak że miałem dostęp do rozmaitych specjalnych kamer fotograficznych i urządzeń do obróbki. Po zamianie niektórych rysunków na negatywy robiłem odbitki metodą stykową, tworząc nowe obrazy przez łączenie i przesuwanie w pionie i poziomie pozytywów i negatywów (...)

RC: — Czy używał pan kiedyś przedtem fotografii w tak ogromnym wymiarze?

TM: — Nie, nigdy, do tego stopnia. Uczyłem się malarstwa i posługiwania się klasycznymi środkami, używałem farb olejnych i uczyłem się rysunku.

RC: — Pańskie zainteresowanie przestrzenią zajmowaną przez ryciny każe nam wrócić do aspektów przestrzennych tego zagadnienia.

TM: — Moje oryginalne doznanie było trójwymiarowe, obejmując (...) zmie-

Kamena str. 8

Jadwiga Skibińska-Podbielska

MYŚLI

Wielokrotnie pragniemy stanu pełnienia: uwalnia on od lęków i odpowiedzialności.

* * *

Kiedy ktoś naprawdę walczy, wcześniej czy później musi to robić jawnie.

* * *

Leki odkładają się w nas jak chemikalia.

* * *

Na pierwszy rzut oka moralność jednakowa jest u wszystkich.

* * *

Kiedy dogłębnie i ostatecznie stwierdziliśmy, że X to bufon, cały problem w tym, żeby mu o tym nie powiedzieć.

* * *

Każdego dnia rozpoczynamy życie od nowa i nie żyjemy nic dłużej.

* * *

Droga przed śmiercią jest za darmo.

* * *

Sądzimy, że ubłagamy to, co jest daleko. Na to, co bliskie, szukamy siły.

* * *

Kiedy pracujemy z niesłabnącą wiarą, cel jakby sam do nas podchodzi.

niające się w przestrzeni odległości: od widoku z lotu ptaka, aż do bezpośrednich zbliżeń. Ale w procesie budowy zestawu przyjąłem podejście dwuwymiarowe, wymagające graficznego „przekładu" danych trójwymiarowych. Jednak nawet po skompletowaniu zestawu rysunków czułem, że moje badania początkowego problemu ciągle nie zostały zakończone. Chciałem niejako przenieść ten problem z powrotem do realnej przestrzeni, ponownie wprowadzić do moich rozważań trzeci wymiar.

RC: — Jak pan tego dokonał?

TM: — Wykonałem slajdy z różnych rysunków wchodzących w skład mego zestawu (...), a następnie zbudowałem program slajdów rzutowanych w określonej sekwencji. I struktura taka przypomina bibliotekę wizualną.

RC: — Czyli poddaje pan obróbce te same dane wizualne, jakie zawarte są w „Avenue of Americas", tylko w odmienny sposób?

TM: — Tak. A te slajdy stanowią most pozwalający na przejście do innego projektu zatytułowanego „Light Projection", w którym zamierzam wyświetlać slajdy w PS1 na suficie i ścianach różnych pokojów. PS1, który został zbudowany pod koniec XIX wieku, przedstawia sobą minioną architekturę, podczas gdy rzutowane obrazy reprezentują architekturę współczesną. Kiedy zostaną one wyświetlone w PS1, wówczas stosunek wyobrażeń do realnej architektury jest tym, co nadaje kształt wizualny konfrontacji pomiędzy czasem przeszłym i teraźniejszym, a realnością. Zamierzam zrealizować ten zamiar na wiosnę. Ponadto planuję wyświetlać swoje slajdy w Paryżu i Wenecji, gdzie będą one eksponowane na każdorazowo odmiennej architekturze, obejmując rozmaite zbiory stosunków czasu i rzeczywistości.

RC: — Czy interesuje się pan w ogóle społeczną strukturą Szóstej Alei?

TM: — To jest druga część problemu, który chciałem badać. (...) Znowu udałem się w ten rejon i wynająłem komputer na Szóstej Alei, w pobliżu Times Square, koło wesołego miasteczka. Moim celem było uzyskanie komputerowego obrazu ludzi zamieszkujących tą dzielnicę, aby udokumentować wizualnie element ludzki tego obszaru.

RC: — Dlaczego obrazy skomputeryzowane?

TM: — Te obrazy są oparte na siatce i systemie cyfrowym i posiadają ten sam poziom ogólności, jak obrazy zawarte w zestawie rysunków.

RC: — Czy pan wybierał tych ludzi?

TM: — Nie, są to dowolni ludzie, którzy chcieli zrobić sobie komputerowy portret. (...) Wobec tego są to po prostu ludzie, którzy akurat wówczas przechodzili w pobliżu (...) Zaś portrety komputerowe stanowią sztukę typu ulicznego, przypominającego mi sztukę masową w konstruktywiźmie. Są to również sformalizowane, standardowe obrazy. (...) Planuję inny projekt, w którym komputer będzie umieszczony w pewnym supermarkecie w New Jersey. Mam również zamiar połączyć dane z obydwu projektów i wkrótce je zaprezentuję.

Przełożył: E. Maruszak

Na początku minionego roku władze Wietnamskiej Republiki Socjalistycznej zwróciły się do polskich konserwatorów z prośbą o pomoc w ratowaniu zabytków wyniszczonego długoletnią wojną kraju. Propozycję przyjęto ze zrozumiałym zainteresowaniem, następnie zaś, celem zapoznania się ze specyficznymi warunkami pracy, skierowano we wrześniu do Wietnamu trzech specjalistów: inż. Andrzeja Wawrzeńczaka, dyrektora Informacji Konserwatorskiej PKZ w Warszawie, mgr inż. arch. Kazimierza Kwiatkowskiego, projektanta z Lubelskiego Oddziału PKZ, oraz inż. Jerzego Jarzębowskiego, dyrektora Lubelskiego Oddziału PKZ, którego bezpretensjonalne notatki z tej wizji lokalnej chcemy oto przedstawić czytelnikom „Kameny". Są to fragmenty obszerniejszej całości.

ZAPISKI Z WIETNAMU

Można dostać oczopląsu

Jerzy Jarzębowski

TROJE przedstawicieli wietnamskiego Ministerstwa Kultury podejmuje naszą ekipę w hallu biurowca. Popijając pyszną esencjonalną kawę, zapoznajemy się z aktualnymi problemami ochrony zabytków na terenie Wietnamu. Obradom patronuje z portretu Ho Szi Min. Dowiadujemy się o 13 tysiącach sklasyfikowanych na terenie państwa zabytków, z czego 20 proc. stanowi architektura. Kłopotów z ich konserwacją dostarcza ciężka sytuacja gospodarcza oraz niewygasła jeszcze wojna. Niemniej rząd WRS nie szczędzi wysiłków, by ratować i zachowywać dziedzictwo kultury narodu. Stąd zaproszenie polskich fachowców, w których pokładają nadzieję na rozwiązanie trudnych problemów konserwatorskich. Niewielką pomoc niesie ONZ, asygnując dolarowe dotacje oraz przysyłając materiały budowlane. Polska zaproszona została jednak jako sprawdzony partner i doradca. Omawiamy pokrótce sprawę przekazania polskiego daru (sprzęt fotograficzny) oraz program naszej wizyty. Dziękujemy w krótkich słowach za zaproszenie. Ustalamy termin roboczego spotkania za trzy tygodnie i wychodzimy żegnani życzeniami miłych wrażeń.

Przechodząc przez plac budowy widzimy kilkuosobowe grupki, które siedzą w kucki i rajcują. Hej, skądmy to znamy?!

Ambasada PRL w Hanoi to drugi nasz cel dzisiejszego dnia. Ładna i elegancka, lecz zagrypiona sekretarka wywołuje poznanego uprzednio attache kulturalnego. Rozmawiamy chwilę o interesujących nas problemach. Będziemy pierwszym po Francji krajem, który zrobi coś dla zabytków w tych stronach, mówi pan Wiktoid Wiącek, warto się z sercem tym zająć. Duża rzecz! Umawiamy się na spotkanie w najbliższej przyszłości.

W hotelowym pokoju zastajemy skaczącego konika polnego średniej wielkości. Po chwili wkracza trzyosobowa, żeńska, młodzieżowa brygada sprzątająca. Pokój rozbrzmiewa głośnym gęganiem, zręczne ręce ścielą łóżka, ścierają lastrikową posadzkę, wyrzucają śmiecie. Wyrzucają również przez nieuwagę otrzymaną w ambasadzie mapę Wietnamu. Złożona w czworo wyglądała jak zniszczony papier pakowy. Trudno, trzeba zdobyć gdzieś drugą.

Obiad jest skromniejszy niż wczorajsza kolacja. Kosztuje mimo to około 50 dongów i wynosi tyle, co połowa średniej pensji miesięcznej Wietnamczyka. Ceny w hotelowej restauracji ustalane są dla cudzoziemców i ich wysokość odnosi się do tzw. wolnej sprzedaży. Obywatele WRS posiadają kartki żywnościowe i bony towarowe pozwalające na zakupy po znacznie niższych cenach. Podstawowe artykuły są racjonowane, by obdzielić sprawiedliwie 55-milionową rzeszę ludzi. A widać ich mrowie. Hanoi posiada półtora miliona mieszkańców. Życie skupia się przeważnie na ulicy. Tu pracują fryzjerzy, handlarze, ślusarze. Tu rykszarze pracowicie napędzają swe sterane wehikuły. Na chodniku wulkanizuje się dętki i naprawia motocykle. Powszechnym obrazkiem tej ulicy jest kobieta niosąca bagaże na elastycznym bambusowym nosidle, przewieszonym przez barki. Jadą w ten sposób kosze i pakunki, zielenina, siano i owoce, toboły, tobołki, skrzynki i tace. Ten stary jak daleki wschód sposób transportu, to wynik ludowej znajomości zasad fizyki i umiejętne wykorzystanie właściwego mocnego i elastycznego bambusu.

Po obiedzie zwiedzamy muzea. Pierwsze to historyczne. Mieści się w budynku zbudowanym ongi przez Francuzów dla kształcenia kadr kolonialnych Dalekiego Wschodu. Są tu eksponaty sięgające wiekiem paleolitu i neolitu. Większość dotyczy jednak wiekuistych wojen z Chinami, stanowiących leitmotiv historii Wietnamu. Drugie muzeum prezentuje sztukę współczesną a ulokowane jest w byłym żeńskim klasztorze. Podziwiać tam można rzeźbę, malarstwo, stroje ludowe. Przewodniczka, młodziutka skośnooka dziewczyna, zaskakuje nas pytaniem:

— Jak tam sytuacja w Polsce? Podobno macie jakieś trudności gospodarcze? Gdyby nasze życie w Wietnamie było takie, jak wasze w Polsce, pewnie bysmy nie strajkowali.

I jak tu takiej wyjaśnić skomplikowane polskie problemy? A w ogóle skąd tu, na końcu świata, u śniadolicej amarynki zainteresowanie dalekim nadwiślańskim krajem?

Nazajutrz spieszymy do ambasady PRL. Ambasador, długoletni generał, przyjmuje nas po żołniersku. Odpytuje krótko i węzłowato: co i jak? Stwierdza, że powinniśmy sprawą zainteresować ONZ i próbować rozegrać problemy współpracy na możliwie korzystnych warunkach.

Po wyjściu z ambasady bierzemy kurs na północny zachód. Nasze wozy, trąbiąc donośnie, wykonują znowu karkołomny slalom, nurkując wśród tysięcy rowerzystów. 30 km za Hanoi skręcamy z asfaltu w polną drogę. Zaczyna padać, „Wołga" odmawia posłuszeństwa, przesiadamy się do „Mazdy". Skręcamy w drogę o rozmasionej gliniastej nawierzchni. Mijamy grupki Wietnamek ze swymi bambusowymi koromysłami na barkach. Na polach po obu stronach drogi ryżowiska. Kobiety, brodząc w wodzie, pieszczą zielone życiodajne fiance. W głębokim skłonie, pod trzcinowymi kapeluszami i w plecionych plachetkach na drobnych plecach wyglądają niczym ptactwo wodne oczekujące końca deszczu. Droga staje się nieprzejezdna. Na czerwoną maź i „Mazda" nie radzi. Podwijamy nogawki i dalej w czerwone masło! Tubylcy spoglądają z życzliwym zdziwieniem i zaciekawieniem na zmoknietych Europejczyków, obwieszonych aparatami i kamerami, stąpających z zawiniętymi nogawkami po rudawym blocku. Mały chłopczyna z wędką niesie nanizany na patyk wisiorek niewielkich rybek: ni to linki, ni okonki. Wyciąga rękę, dostaje 5 hao. Uśmiecha się z zadowoleniem. Stare kobiety wykrzywiają twarze, ukazują czarne zęby; barwienie na czarno zębów to dawny tradycyjny zwyczaj.

Podchodzimy do podnóża góry porośniętej bujną roślinnością: 280 schodów w górę i szeroko otwieramy oczy. Przed nami zbudowana w IX wieku z żelaznego drewna świątynia buddyjska Tay Phuong. Niewielka budowla z doświetlającym ją wewnątrz patiem stanowi architektoniczne cacko. Podrzeźbiany w orientalne wzory detal dachu z przyszarzałą czerwienią dachówki i soczystością zieleni sam w sobie stanowi niecodzienną ekspozycję. Wnętrze to dalszy ciąg cudu. Złocony Budda w otoczeniu apostołów patrzy z ołtarza, od wspaniałych rzeźb, amfor, waz, dzwonów, przedmiotów rytualnych oraz dekoracji można dostać oczopląsu. Żadnego z tych przedmiotów nie wstydziłoby się najwspanialsze muzeum. Tutaj, będąc na swym miejscu i w komplecie, stanowią skończenie doskonały zestaw, mogący zachwycić przybysza. A przybywają tu ciekawscy z całego globu. Ślady ich pozostają w opasłej księdze pamiątkowej, przyniesionej przez krótko strzyżoną starą kobietę — bonzę strzegącą świątyni. Rejestrujemy swą obecność i siadamy przy długim ustawionym z boku stole, by wypić filiżankę herbaty. Jest to znakomity mocny napój serwowany przez staruszkę. W nozdrza łaskocze mdlący słodki zapach żarzącego się spiralnego trociczka sprzed posągu Buddy. Zapach ten spotykać będziemy w innych zwiedzanych świątyniach. Trociczki zakupić można we wszystkich sklepach i straganach; budową przypominają zimne ognie na cienkich bambusowych patyczkach. Zapalane przez wiernych od płonącej przed Buddą lampki, wetknięte w donicę z ziemią, żarzą się długo, wydzielając aromatyczny, charakterystyczny zapach.

Po powrocie do Hanoi idziemy do banku, by wymienić posiadane czeki na dongi. Drogę przegradza nam milicja, orkiestra i wielki barwny tłum: to mieszkańcy witają wietnamskiego kosmonautę, który ze swym radzieckim partnerem odwiedza stolicę WRS. Skręcamy w objazd.

Bank mieści się w pofrancuskim monumentalnym gmachu, jest ociężały i nosi cechy architektury kolonialnej. Stojący przed budynkiem milicjant trzyma krociutki zgrabny, lecz groźny automat, podobno węgierski. Jak w każdym banku, w okienkach dziesiątki młodych i ładnych dziewcząt. Wymiana czeków załatwiana jest szybko, sprawnie i fachowo.

Później wstępujemy do dzielnicy handlowej. Oglądamy halę targową: przy długich stoiskach nad towarami siedzą, leżą lub stoją całe rodziny oferujące towar. Niektórzy sprzedawcy śpią znużeni handlem i upałem. Inni jedzą, jeszcze inne głośno zachwalają towar. A jest tego co niemiara. Szczególnie imponująco wyglądają stoiska z plecionkami: kosze i koszyki, całe zestawy tac i taczek, maty, kapelusze, fotele. Bambus i inne gatunki trzciny oraz suszone palmowe liście w tysiącu różnych wyrobów. Bogate są stoiska z ziemiopłodami. Mozaika owoców, straków, bulw. Banany, grejpfruty, czosnek, tu kartofle, tam pataja. Wszystko w misternie wyplatanych koszach, tacach, tubankach. Unosi się nad tym specyficzny wschodni zapach bazaru. Czuje się w nim korzenie i pot, czosnek, palony tłuszcz i urynę. A wszystko w atmosferze zgiełku i upału. Ubogie są stoiska z wyrobami przemysłowymi. Najczęściej spotykanym towarem są tu części rowerowe. Szczególna ciekawostka to apteka z ziołami. Jest nią pokaźne stoisko z dziesiątkami pięcionek wypełnionych suszonymi medykamentami. Pracowało na nie wiele lat ludowe doświadczenie pokoleń. Zapach przy tym, jak w mieszance browaru, gorzelni i Herbapolu! Wstępujemy jeszcze na piwo do miłej restauracji, popijamy kwaskowate Bia Hanoi. Oczy nasze raduje stojąca na kontuarze swojska waga z napisem „Lubelskie Fabryki Wag".

Obiad w hotelowej restauracji syty i smaczny. Nasi gospodarze serwują wietnamską kuchnię. Jemy *nem*: są to krokieciki z mięsa i kaszy gryczanej maczane w sosie przezroczystym, lecz piekielnym. Żywy ogień! Wypijamy po dwa kieliszki wódki perfumowanej słodkim cytrynowym sokiem. Trenujemy przy tym jedzenie pałeczkami — nawet idzie! Jest jeszcze kilka różnych potraw. Od stołu wstajemy jak wawelskie smoki po starkowym baranku.

W niedzielę rano dr Dao Kinh, dyrektor Przedsiębiorstwa Konserwacji i Rekonstrukcji Zabytków w Hanoi, wiedzie nas na pierwszą wycieczkę po Hanoi. Pogoda nie sprzyja, siąpi deszcz, gorąco. Oglądamy znowu kilka świątyń, mogących zaopatrzyć kilkanaście salonów „Desy" w kraju. Trafiamy wreszcie do muzeum literatury. Jest to XI-wieczna budowla z charakterystycznie wygiętym dachem pokrytym dachówką. Stylowa brama wiedzie na dziedziniec. Odbywały się na nim w XIII wieku konkursy recytatorskie. Całość zaprojektowana symetrycznie na długiej osi, na którą nanizano perspektywę alei z łagodną roślinnością. Siedzimy chwilę pod dachem, chłonąc ciszę i spokój oraz szmer deszczu pluskającego w zalanym patio. Koło nas randkuje młoda wietnamska para. Ona: prześliczna dziewczyna o bajkowej urodzie, włosy lekko kręcone i spięte w falisty ogon, śniada twarz, oczy poważne, zamyślone, jak baśń z 1001 nocy. On: młody, szczupły, także poważny i zadumany. Rozmawiają cicho i spokojnie. Wstają po chwili i wolno odchodzą.

Wracamy do hotelu. Mokro i gorąco. Andrzejowi Wawrzeńczakowi spod rozpiętej koszuli wystaje goły brzuch, niczym Buddzie w okresie radości życia. Stojący na rogu ulicy milicjant w tropikalnym hełmie i pałatce nakazuje gestem schować wystające brzuszysko.

— Dlaczego mam się zapiąć? — pyta spocony Andrzej.

— Milicja dba o twoje zdrowie — wyjaśnia poważnie Kinh.

Nieopodal hotelu spotykamy tłum ludzi w białych opaskach na głowach, kroczący wolno ulicą. Z tyłu dwa duże samochody z wieńcami na maskach. Pogrzeb. Ślad jego znaczą białe i czerwone kostki leżące na ulicy — to drogowskazy dla ducha, by nie błądził w drodze do domu.

Po obiedzie gramy w ping ponga, sprzętem wypożyczonym od pilotów „Aerofłotu", nocujących przed jutrzejszym rejsem.

Na kolację Kazik z Andrzejem zamawiają jakieś obsmażane kurczaki. Kinh wyjaśni później: „Kakij eto cypłionok? Eto liaguszka!" Kazik szeroko otwiera oczy, bo zjadł żabę.

Dokończenie ze str. 1

Edukacja po naszemu

JÓZEK ma na imię Joseph i obywatelstwo francuskie, choć oboje rodzice nie są Francuzami. Dziadkowie Józka przeszli gehennę Majdanka. Wyzwolenie znaleźli w komorze gazowej. Józef szkołę podstawową i liceum skończył w Paryżu. Ma 21 lat, które podzielił następująco: Francja — piętnaście, Polska — sześć. Mówi po polsku jak warszawiak, ale nie mówi po francusku jak paryżanin, bo... dialekt argot uważa za trochę teatralny.

Matka Józka mieszka na stałe w Warszawie. Ojciec w Paryżu. Od czterech lat rozwiedzeni. Stary płaci alimenty i będzie łożył na studia Józka. Ma z czego.

* * *

MAGDA ma 19 lat, obywatelstwo polskie i polski paszport „wielokrotny". Do siódmej klasy podstawówki mieszkała w Warszawie. Potem wyjechała razem z matką do Szwecji, do Malmoe. Tam skończyła szwedzkie liceum.

O ojcu nie chce mówić („to nie jest żaden temat"). „Żaden temat" mieszka gdzieś w Warszawie.

Matka Magdy w tym roku otrzyma obywatelstwo szwedzkie. Magda też mogłaby, ale jeszcze nie jest zdecydowana.

* * *

KARIN mieszka w Trzyńcu k. Czeskiego Cieszyna. Tam się urodziła w 1961 roku. Rodzice są Polakami. Mają obywatelstwo CSRS. Ona — też.

Ukończyła polską podstawówkę i polskie liceum w Cieszynie.

* * *

JUREK pochodzi z Łap w Białostockim. Mieszka w Thunder Bay, w Kanadzie. Jest obywatelem PRL. Ma paszport konsularny. Skończył 25 lat. Szkołę podstawową i maturę zrobił w kraju. Później, przez rok studiował rolnictwo w warszawskiej SGGW. W 1975 roku wyjechał na stałe do Kanady, do rodziców. Od przeszło roku ma żonę. Kanadyjkę.

* * *

Każde z nich, spotkane na ulicy w każdym polskim mieście, nie różniłoby się niczym od innych rówieśników. Kiedy im to mówię, są zadowoleni. Nie kryją tego.

— Przecież jesteśmy Polakami... To nie ma znaczenia, czy będziemy mieszkać w Polsce, czy gdzie indziej. Tak samo, jak nie było dla nas sprawy, gdzie pójść na studia.

— Nie było sprawy?

— Nie było sprawy z podjęciem decyzji.

To uściślenie jest nie bez znaczenia.

Jedną z form zacieśniania łączności z Polonią (od kiedy „okazało się", że nie stanowi ona narzędzia antysocjalistycznej reakcji) jest organizowanie w kraju studiów dla dzieci wychodźców. Cel z wielu względów piękny. Dla mnie najbardziej z tego powodu, że pobyt i nauka w Polsce mogą i powinny wpływać na kształtowanie obrazu Polski i Polaka za granicą. Po powrocie młodych Polonusów z dyplomami w kieszeni.

Jak trafić na studia? Teoretycznie bardzo prosto. Trzeba nawiązać kontakt ze stosownym konsulatem PRL, wypełnić stosowne papiery i czekać na decyzję. Wróćmy jednak do naszej czwórki...

* * *

MAGDA: — Chciałam studiować w Polsce z paru powodów. Po pierwsze, nie Szwedowi bardzo trudno jest się dostać na studia w Szwecji. Po drugie, po studiach trzeba odpracować dwa lata za kręgiem polarnym. Po trzecie, nie wiem, jak się ułoży moje życie i nie chciałabym się wiązać tylko ze Szwecją. Po czwarte i najważniejsze, nigdzie nie czuję się tak, jak w kraju.

Złożyłam podanie w Konsulacie w Malmoe i otrzymałam po tygodniu odmowę bez podania przyczyn. Próbowałam się dowiadywać, ale bez skutku. Wreszcie jeden ze znajomych Polaków powiedział mi, że to pewnie dlatego, iż mam polski paszport i nie ma podstaw, żeby pobrać ode mnie opłatę za studia w dolarach. Napisałam więc, że mimo iż jestem obywatelką PRL, czasowo przebywającą za granicą, jestem gotowa płacić za studiowanie w dolarach. Tym razem odpowiedź była pozytywna. Przyjęto mnie na medycynę z odpłatnością 1800 dolarów rocznie.

KARIN: — Dyrektor mojego liceum zaproponował, abym studiowała w Polsce. Oczywiście, bardzo się ucieszyłam, bo bez pomocy szkoły trudno jest wyjechać na studia za granicę. W lutym pojechałam do Pragi, gdzie pomyślnie zdałam egzaminy na medycynę w Polsce. Do sierpnia nie było odpowiedzi. Na czeską uczelnię nie zdawałam, bo uważałam sprawę za oczywistą. Mama zadzwoniła do konsulatu i okazało się, że tam nic o mnie nie wiedzą. W końcu mama pojechała do konsulatu i przywiozła „papier" z decyzją, że mam jechać na kurs przygotowawczy do Krakowa.

Nie, za naukę nie płacę, bo to jest w ramach obozu socjalistycznego. Za studia płaci chyba rząd CSRS. Zresztą nie wiem dokładnie...

JUREK: — Przyjechałem kiedyś do Toronto i poszedłem do konsulatu. Konsul Panek przyjął mnie bardzo serdecznie i nim się zorientowałem, powypełniałem wszystkie kwity. Wybrałem weterynarię na SGGW. Powiedziałem, że mam żonę Kanadyjkę i chciałbym, żeby pojechała razem ze mną. Konsul powiedział, że oczywiście, nawet bez obowiązku przymusowej wymiany dolarów.

W maju przyjechałem do Polski i poszedłem od razu do Ministerstwa Nauki, Techniki i Szkolnictwa Wyższego. Nikt nic nie wiedział o moim podaniu. Chodziłem od urzędnika do urzędnika. Kazali przychodzić za dwa dni, za trzy, za tydzień. Za piątym razem powiedziałem, że mam już tego dość i podanie się znalazło. Urzędniczka powiedziała, że nie było jeszcze rozpatrywane, ale ona jest w komisji i postara się, żeby było dobrze. Kazała przyjść za parę dni. W tym samym czasie przyszło pismo z konsulatu, że zostałem przyjęty, datowane 9 czerwca 1980 r. Była akurat połowa lipca... Kiedy zapytałem urzędniczkę, jak to jest możliwe, że konsulat w Toronto zna decyzję ministerstwa, a ona nie, powiedziała, że niepotrzebnie przyjechałem do Warszawy i trzeba było czekać w Kanadzie. Kazali zapłacić 1200 dolarów.

JÓZEK: — Ja załatwiałem wszystko w ambasadzie w Paryżu. Powiedziałem, że chcę studiować iberystykę na UW, i wypełniłem odpowiednie formularze. Otrzymałem pozytywną odpowiedź i informację, że jak najszybciej muszę wpłacić 5000 franków za pierwszy rok nauki.

Zdecydowałem się na studia w Polsce, bo chcę być z matką i bratem przyrodnim. Poza tym czuję się w równej mierze Polakiem jak Francuzem, no i kocham Warszawę.

Tak więc do połowy sierpnia 1980 wszyscy wiedzieli już, że prawdopodobnie będą studiować. Szykowali się więc do sesji kwalifikacyjnej dla studentów polonijnych, organizowanej przez krakowski UJ. Początek imprezy naznaczono na 1 września.

* * *

Na początku trzeba było zapłacić 105 dolarów. Za to miało się zabezpieczone mieszkanie w akademiku „Piast" (przy ul. Piastowskiej 47), wykłady i zajęcia oraz program towarzyszący. Jedzenie można sobie było wykupić w stołówce nr 7 (przy ul. Reymonta 15). Cena 25 złotych dziennie.

Program sesji miał na celu: 1) sprawdzenie, na ile kto zna język polski i przydzielenie do odpowiedniej grupy; 2) przekazanie podstawowych informacji o Polsce i literaturze polskiej; 3) ostateczne określenie... kierunku i miejsca studiów (!?).

— Jechałem do Krakowa i myślałem, że to będzie formalność — mówi Jurek. — Poszedłem do naszej opiekunki i mówię, że znam polski, bo się w Polsce wychowałem i zrobiłem maturę, że realia życia codziennego, geografię i historię też znam i w ogóle proszę, żeby mnie z tego zwolniono. Mowy nie ma. Jest zarządzenie, że każdy, to każdy. No dobra, mówię, to dajcie mi spokój przynajmniej z polskim. Jest zarządzenie, że każdy musi przejść test, a na koniec zdać egzamin.

Test sprawdzający polegał na wykazaniu sprawności językowej na poziomie, mniej więcej, drugiej klasy szkoły podstawowej. Najpierw były rysuneczki (żaby, konia, samolotu, słonia itp.) i trzeba było napisać, co one przedstawiają. Potem zdania, które wymagały odpowiednich uzupełnień. Na przykład: „Babcia jest ...., aby podnieść wiadro wody". Rozmawiano również z kursantami niczym z przedszkolakami celem ustalenia, jak idzie im mówienie po polsku.

Ponieważ naszej czwórce szło zupełnie dobrze, to znaczy wiedzieli, gdzie są, jaki jest dzień tygodnia, pora roku, godzina, co jest stolicą Polski oraz kilka innych rzeczy, zostali praktycznie zwolnieni z zajęć. Mieli więc czas do egzaminu końcowego i mogli robić, co im się podobało. Robili.

* * *

JUREK: — Zostaliśmy ulokowani na jednym piętrze w pokojach 2- i 3-osobowych. Dokładnie nie wiem, ile nas było. Kilkadziesiąt osób... Przeważali ludzie z USA i Kanady. Sporo przyjechało z RFN, Szwecji i Francji. Były osoby z Argentyny, Brazylii, Anglii, Czechosłowacji itd.

Już pierwszego dnia jeden z kolegów z Anglii otworzył u siebie w pokoju biuro wymiany. Wymieniał na złotówki każdą walutę i w każdej ilości. Kurs, jaki proponował (1 dolar — 110 złotych), nie był może najlepszy, ale odpadało zawracanie sobie głowy „cinkciarzami". Poza tym kolegę można było obudzić nawet w środku nocy.

Usługi dla kursantów świadczyli także Polacy. Dwa piętra niżej funkcjonowała całą dobę „meta" z wódką. Nie brakowało chętnych — do rozrywania zagranicznych gości — dziewczyn. Kręcił się po akademiku niejaki Boguś, który proponował wesołe zabawy z udziałem panienek — w części merytorycznej wieczoru „na mieście" — i oglądanie filmów porno — w części rozrywkowej. Ceny świadczeń wódczano-erotycznych „nacechowane" były realizmem. Już za dwieście złotych można było nabyć „żyto", a za 30 dolarów panienkę (na noc). Bilet na imprezę u Bogusia kosztował pięćdziesiąt „zielonych".

Alternatywą dla wymienionych ofert były imprezy własne, organizowane przez uczestników seminarium. I te znajdowały daleko większe uznanie.

— Z nudów „grzaliśmy" wódę. Dla kumpli, którzy byli w Polsce pierwszy raz, albo bywali krótko i rzadko, prawdziwą atrakcją były „pryty" — wspomina Józek. — Kiedyś kupiliśmy ich dwadzieścia i był pomysł, żeby wlać do jednej miednicy i zrobić poncz. Jedna z dziewczyn mówi, że to niemożliwe. Nie zmieści się. Założyłem się z nią, że jak wejdzie, to ona przebiegnie nago po korytarzu. Jak — nie, to ja. No i biegała. A ile przy tym było zabawy...

— No, nie przesadzaj. Chodziliśmy też z ciekawości na niektóre zajęcia — przerywa mu Karin. — Pamiętacie te pt. „Życie codzienne w Polsce"?

Wybuch śmiechu.

Zaglądam do odbitego na kserografie programu sesji. Jest. 3 i 4 września od 9 do 10. Po polsku, albo po angielsku.

— Ten gość, który miał z nami wykład, to od razu postawił sprawę jasno — mówi Magda. — Powiedział, że musi nam to i to powiedzieć, ale sam pewnie nie wierzył w swoje gadanie. Tłumaczył nam, jaka to w Polsce jest wysoka stopa życiowa. Ile zarabiają poszczególne klasy społeczne i grupy zawodowe. Mówił o ważnej roli „Pewexu". O zaopatrzeniu sklepów. O tym, dlaczego lekarze biorą łapówki. Jak by ktoś przyjechał do Polski i trafił na ten wykład, a potem wyszedł na miasto, pochodził, z ludźmi pogadał, to by sobie pomyślał, że albo zwariował, albo ktoś stara się z niego robić durnia.

O innych wykładach nie mówią. Nie chodzili. Od czasu do czasu wpadli na jakiś...

* * *

Egzamin końcowy z języka polskiego polegał na tym, że czytano tekst o Mickiewiczu. Trzeba było robić notatki, a następnie napisać jak najwięcej. Zdali. Czekały ich jeszcze spotkania z Międzyresortową Komisją ds. Kwalifikowania Cudzoziemców na Studia w Polsce (MKK CnSwP).

KARIN: — Mnie zapytali, dlaczego chcę studiować medycynę. Odpowiedziałam, że bardzo lubię i podziwiam lekarzy. Zapytali, czy muszę koniecznie studiować w Warszawie. Powiedziałam, że tak. I na tym się skończyło.

MAGDA: — Mnie też pytali, dlaczego chcę studiować w Warszawie. Bo lubię to miasto i mam tu rodzinę, mówię. No to oni, czy w takim razie nie będę korzystała z akademika. Mówię, że będę. Pogratulowali.

JUREK: — Ze mną też chcieli szybko załatwić. Jak już wytłumaczyłem, że chcę studiować weterynarię na SGGW, a nie w Olsztynie, zapytałem, co będzie z moją żoną. Mówię, że konsul Panek z Toronto obiecał, iż będzie zwolniona z obowiązku wymiany. Nic konkretnego nie powiedzieli, tylko żebym się dowiadywał w Warszawie.

JÓZEK: — Kiedy powiedziałem, że chcę studiować iberystykę i za to zapłaciłem, mówią mi, że lepiej będzie, jak pójdę do Instytutu Lingwistyki Stosowanej na UW. To jest prawie to samo — mówią. No i zgodziłem się.

* * *

Koniec października. Mija pierwszy miesiąc studiów. Mija czwarta godzina wynurzeń.

Magda nie narzeka. Jakoś się trzyma. Ma już dwie pierwsze „lufy" z anatomii, ale przez to też trzeba przejść. Z akademika „Duet" (ul. Krupskiej) zrezygnowała po tygodniu. Nie było ciepłej wody. Kiepskie warunki w pokoju. Dziewczyny, które z nią mieszkały (III i V rok), nie dawały się uczyć. Bez przerwy było jakieś towarzystwo. Muzyka, wino itd. Wynajmuje pokój na Saskiej Kępie. Płaci 2 tysiące. Dostaje 1600 zł stypendium.

Studia jej się podobają. Najbardziej to, że od razu przyzwyczajają studentów do „prozy" zawodu. Sekcje zwłok, preparaty... To uodparnia i jest dobre. W Szwecji zaczyna się to dopiero na III roku.

Koledzy z roku to wielkie rozczarowanie Magdy. Albo ciężkie „kujoty", albo dzieci dygnitarzy, ministrów, dyrektorów. Rzadko kto z powołania. Nie utrzymuje z nimi kontaktów. Oni? Tak, owszem. Chcieli kupić dolary... Jest w jednej grupie z Karin i Konradem (z Francji). To im pomaga. Wspólnie zawsze łatwiej...

Karin nie ma nic do dodania. Zresztą wpadli akurat koledzy z roku i mówią, że do akademika przyjechał ojciec Karin. Podobno nie jest zachwycony nieobecnością córki.

— Cholera. Czuję, że mi się oberwie — żegna się. Mówi z drzwi:

— Napisz, że jest ciężko, ale daję sobie jakoś radę. Dzięki nim — pokazuje na Magdę, Jurka i Józka.

Jurek już nie studiuje. Zrezygnował. Po tygodniu dowiedział się, że żona, owszem, może przyjechać, ale będzie wymieniać po 7,5 dolara na dzień. Nie ma mowy o zwolnieniu. W związku z tym czuje się oszukany. Nie stać go na taki interes. Ani jego, ani rodziny. Na „dobrowolną" separację nie godzi się. Kto by się zgodził? Niecały rok po ślubie...

Nie ma też jak wracać. Kupił w Polsce sporo rzeczy do mieszkania, w którym miał mieszkać z żoną. Jeszcze w Kanadzie wpłacił dolary na Fiata 125p, który teraz żółci się w dole na parkingu. Co ma z tym zrobić? „Batory" wznowi kursy dopiero na wiosnę.

Jurek spotyka się więc z kolegami z Krakowa, pije i czeka na pomysł.

Józek studiuje, ale decyzję rektora UW otrzymał dopiero 17 października.

Kiedy się zgłosił do Instytutu Lingwistyki Stosowanej, okazało się, że może się tam uczyć niemieckiego, którego nie lubi, angielskiego, który zna, i francuskiego, w którym się wychował. Chodził do rektora UW Rybickiego, ale ten był zbyt zajęty. Sekretarka powiedziała mu, że jest zarządzenie, iż nie wolno cudzoziemcowi studiować w Polsce filologii obcych. Na co on, że nieprawda, bo zna osobiście dziewczynę z Chicago, która chciała studiować polonistykę, a komisja zakwalifikowała ją na... anglistykę. Wówczas sekretarka go wyprosiła. Poszedł do docenta, kierownika kierunku iberystyki, ten mu zaopiniował pozytywnie prośbę i pozwolił chodzić na zajęcia. Czekał na wynik.

W tzw. międzyczasie odwiedził ministerstwo i pokazał zaświadczenie, za jakie studia płacił, na co urzędniczka powiedziała, żeby jej oddał to zaświadczenie, bo mu już niepotrzebne. Józek nie był jednak aż tak naiwny. Powiedział, że idzie do ambasady francuskiej, która — jak sądzi — poda ministerstwo do sądu. To jakby poskutkowało. Pani powiedziała, że postara się coś zrobić.

Podczas szóstej wizyty w rektoracie okazało się, że rektor już nie jest rektorem. Podczas siódmej, że podanie nowy rektor załatwił od ręki. Pozytywnie.

Józek za język kierunkowy wybrał portugalski. Jest zadowolony, bo atmosfera fajna, a zajęcia ciekawe. Koledzy różni, jak w życiu. Przebywa jednak w towarzystwie krakowskim. Jest coś, co ich łączy i pozwala czuć się mniej obco w bliskim sercu kraju. Co? Tego nie wie. Jeszcze nie wie.

* * *

Czas pożegnania.

Wychodzę z Magdą i Józkiem. Jurka już nie ma. Józek pojedzie na obiad do matki i babci. Magda — na cmentarz brudnowski kupić od grabarza czaszkę. Za tysiąc. Na zajęcia.

Czas pointy.

Autobus do centrum. Rozmowa.

— Czy tego się spodziewałaś, jadąc do nas na studia?

Magda patrzy w okno.

— Nie.

— Zawiodłaś się?

— Tak.

— Dlaczego?

— Niektórzy z tych, co byli w Krakowie, mówili, że w tym całym pomyśle ze studiami dla Polonii, to chodzi tylko o forsę. O dolary...

— A ty co mówisz?

— Ja się nie bardzo z tym zgadzam. Skoro się płaci na Zachodzie, a tam się na stałe mieszka, to ucząc się w Polsce też trzeba... Mnie boli co innego. To, że czuję się w Polsce niepotrzebna. A przecież jestem Polką...

— Czy jeszcze raz, teraz, zdecydowałabyś się na te studia? Wiedząc tyle, co wiesz. Czując to, co czujesz.

Odpowiada od razu.

— Tak. Przecież jestem Polką...

Waldemar Piasecki

Kamena str. 10

Dariusz G. Bełżyce.

Im bardziej jestem smutny
tym bardziej znam cenę radości
i tym bardziej jej nienawidzę

To prawda. Oczywista, przez nikogo nie kwestionowana. I przez nikogo już nie roztrząsana. Dlaczego więc Pan podnosi ją w swoim wierszu — pozostanie tajemnicą. Do lektury Pańskich utworów zraża ponadto pretensjonalna metaforyka. Pierwszym stopniem wtajemniczenia w przygodę poetycką powina być adekwatność słów i przenośni w stosunku do zamysłu. „Tam wysoko jest morze", „trans boleści" — nie tędy droga na Parnas...

Jagoda K. Chełm. Odnoszę wrażenie, że już miałem przyjemność skrzyżować z Panią zdania na temat „wspólnie nas interesujący". Obecny list adresuje Pani do „Tygodnika Kamena", lecz w środku powołuje się Pani na nieistniejący w tym kraju „Tygodnik Literacki", mając zapewne w obydwu przypadkach na myśli naszą poczciwą „Kamenę", która jest dwutygodnikiem, oby zresztą już niedługo. Co do wierszy — całkowicie dominuje w nich Andrzej. Ładnie wyraża Pani swoje uczucie. Niestety, zbyt ładnie. Tylko do pamiętnika nadają się takie fragmenty:

Długo Ciebie szukałam
i oczy swe wypłakałam
Czasami myślałam skrycie
Że serca mego bicie...

Gdyby Pani na codzień przemawiała do niego takim językiem, przypuszczam, że Andrzej wyszedłby po papierosy i więcej nie powrócił.

Jerzy L. Załatwmy sprawę od ręki — cytując: „Gdy ci mówią: zjeżdżaj! — nie czekaj, aż podstawią ci samochód służbowy". Przytaczam tę myśl bez żadnej aluzji — przeciwnie, oczekuję następnych przesyłek!

Hanna D. Międzyrzec Podlaski. Nic mi nie wiadomo o tym, aby nasz wspólny znajomy, pisarz i poeta, polecał mi utwory Pani, do druku zresztą. Sama czyni to Pani wystarczająco sympatycznie: „Mam cichą nadzieję, że list mój spełni rolę katalizatora, który przyśpieszy termin tak niecierpliwie oczekiwanego przeze mnie druku". Otóż nie przyśpieszy. Nie ma bowiem czego przyśpieszać. Mam przed sobą jedyny nadesłany wiersz. Powierzyła mu Pani rolę ambasadora całej swej twórczości. Ryzykowne. Wiersz jest zaangażowany w sprawę pustych sklepów, ale sam jest poetycko pusty.

Adam Jerzy M. Wrocław. Drukował Pan w pismach studenckich — to już coś znaczy. Najważniejsze jest jednak obiektywne znaczenie samych wierszy. Te — zbyt rozgadane, bezkrytycznie inkrustowane ładnościami: *„mijają ciężko dyszące rozwartymi gardzielami okien budynki / czasem chropawa łapa wyłuskuje z łóżka śniącą dziewczynę / jej włosy znaczą jasną smugę w przezroczystej mgle upału..."* W pozostałych wierszach to samo, z dodatkiem pewnych politycznych i historycznych odsyłaczy.

Jan L. Zamość. Na początek kilka słów wyjaśnienia. Żadna przesyłka adresowana do „Poczty" nie „zawierusza się" i albo znajduje potwierdzenie w odpowiedziach w „Poczcie" czy listownie, lub po prostu w postaci druku utworu. Co do ostatnio nadesłanych utworów: gdyby pretendowały do miana tzw. poezji ludowej — pół biedy. Nie mogą jednak skorzystać z tej właśnie taryfy ulgowej.

H. P.

MŁODA GENERACJA ROCKA

DWUDZIESTOLETNIA historia polskiej muzyki młodzieżowej obfitowała w zmieniające się nurty i mody. Ich żywotność uzależniona była w niemałym stopniu od trendów w muzyce anglosaskiej. W połowie lat siedemdziesiątych prasa często zamieszczała teksty wróżące rychły upadek krajowej estrady. Powodów ku temu nie brakowało. Starzy wyjadacze z popularnych zespołów instrumentalno-wokalnych (ABC, Trubadurzy, Polanie, Bizony, Czerwono- i Niebiesko-Czarni) zawieszali działalność, przenosząc się do Skandynawii w poszukiwaniu „szmalu", a młody narybek drzemał w letargu. Chmury zbierające się nad polską sceną estradową nie wróżyły niczego dobrego. Do sromoty jednak nie doszło. W tak zwanym międzyczasie zainspirowano bowiem nowy ruch, określany później terminem: *Muzyka Młodej Generacji.*

Zjawisko narodziło się spontanicznie w Sopocie, konkretniej zaś — podczas Muzycznych Konfrontacji POP SESSION. Pod tym nieco enigmatycznym hasłem nie krył się żaden nowatorski styl czy prąd ideowo-twórczy. Oznaczało ono grupę młodych wykonawców, którzy szczerością i spontanicznością wypowiedzi pozostawali w opozycji do znudzonych powielaniem wyświechtanych schematów muzyków, mieniących się (mimo swoich czterdziestu lat) młodzieżowcami. Za sprawą tych naprawdę młodych entuzjastów powrócił na nasze sceny rock, tak skutecznie odsuwany w cień przez disco, funky i słodkie odmiany popu. Nie było żadną tajemnicą, że dawni luminarze muzyki zwanej w latach sześćdziesiątych beatem stracili duchowy kontakt z nastoletnim odbiorcą. Dynamiczny rock Młodej Generacji trafił więc na szczególnie podatny grunt. Nastolatki szybko uznały zespoły tego ruchu za swoje, a sopockie koncerty pod namiotem Teatru Letniego oraz występy podczas Międzynarodowej Wiosny Estradowej gromadziły ogromne rzesze słuchaczy. Wykonawcy MMG robili prawdziwą furorę. Początkowo nie było ich wielu, przynajmniej tych prezentowanych szerokiemu audytorium. Kombi, Exodus i Krzak, jakkolwiek reprezentowali różne odcienie rocka, stali się sztandarowymi reprezentantami ruchu nabierającego coraz większego rozmachu. Druga edycja koncertów MMG w Sopocie odkryła nowe talenty, z których białostocka Kasa Chorych, warszawski Mech i katowicki Kwadrat święcić miały niebawem sukcesy, o jakich nie śni się obecnie Skaldom czy Breakoutom.

Rok 1978 był dla MMG szczególnie owocny. Jak grzyby po deszczu ujawniały się wciąż nowe, zupełnie przyzwoite (w sensie warsztatowym) formacje, wzbudzające niespotykane dotąd zainteresowanie. Tradycją stało się nawet, że każdy koncert progresywnie grających grup przybierał charakter zbiorowej zabawy. Atmosfera towarzysząca koncertom przywodziła na myśl szalony entuzjazm z początków lat sześćdziesiątych, entuzjazm wyrażany przez młodzież dla jej idoli — Beatlesów i Rolling Stonesów. Cokolwiek by powiedzieć, młoda generacja była świetnym zastrzykiem nowej krwi dla polskiej estrady, a także kurą znoszącą złote jajka. Nic więc dziwnego, że marginesowy, zdawałoby się, nurt włączono szybko w tryby machiny „show biznesu". Nagrania młodych grup trafiły na single „Tonpressu", kasety „Wifonu", a nawet znalazły zainteresowanie w oczach przedstawicieli „Polskich Nagrań". Dziś dużymi krążkami mogą już pochwalić się trzy zespoły, a następne czekają rychłej premiery samodzielnych płyt.

Muzyka oferowana przez wykonawców spod znaku MMG nie jest bynajmniej odkrywcza. Generalnie wyznacza ją dynamiczny rock and roll, przetwarzany różnie, w zależności od uzdolnień i zainteresowań instrumentalistów. Charakterystycznym wyznacznikiem nowego ruchu zdaje się być spontaniczność muzycznej wypowiedzi, przewaga partii improwizowanych i motoryczność brzmienia — czyli cechy nawiązujące do dokonań brytyjskiej fali heavy rocka (Led Zeppelin, Deep Purple, Atomic Rooster, Black Sabath). Mało kto przypuszczał pewnie, że zaledwie w ciągu trzech lat Muzyka Młodej Generacji przedzierzgnie się z nieśmiałego Kopciuszka w głównego faworyta krajowej sceny. W zeszłym roku doszło nawet do pierwszego festiwalu grup MMG. Odbył się on w początkach czerwca w Jarocinie i zgromadził rekordową liczbę wykonawców oraz słuchaczy. Najbardziej dojrzali spośród młodych instrumentalistów (między innymi Ogród Wyobraźni, Cytrus, Układ i Paradoks rodem z pobliskiego Kraśnika) trafili z Jarocina na sopockie Pop Session. Stąd droga do ogólnopolskiej kariery całkiem bliska, o ile jakaś grupa nie spocznie na laurach w rozwijaniu dopiero ujawnionych możliwości.

Muzyka Młodej Generacji, jak każda obowiązująca w swoim czasie moda, doczekała się idoli. Można oczywiście sperać się o klasyfikację najlepszych, niemniej najrozsądniej byłoby przedstawić ich zgodnie z osiągniętą popularnością. Największym powodzeniem cieszą się dzisiaj bezsprzecznie trzy różne stylistycznie grupy — Kombi, Kasa Chorych i Porter Band. Szczególnie zaś ta ostatnia wzbudza najwięcej emocji nastoletnich fanów. Wiąże się to poniekąd z wyjątkowością Porter Bandu. Jego repertuar, składający się z utworów posiłkujących się angielskimi tekstami, preferuje muzykę prostą, łatwą w odbiorze, o dużym ładunku ekspersji. Melodyjne kompozycje rock and rollowe przypominają momentami nagrania starych grup brytyjskich, podziwianych w latach szczytowej popularności: Animalsów, Kinksów, Herman Hermits, Manfreda Manna i Who, słowem w latach szaleństwa muzyki „yeh, yeh". I chyba dlatego przyjmowane są równie chętnie przez szesnastolatków, co i trzydziestolatków pamiętających minione czasy „beatowej gorączki".

Porter Band narodził się przed rokiem. Stworzył go John Porter, brytyjski gitarzysta i kompozytor, który po latach współpracy ze śmietanką swych rodzimych muzyków postanowił osiąść na stałe w Polsce, nie rezygnując z życiowej pasji. Początkowo grał w towarzystwie małżeństwa Kory i Marka Jackowskich, tworzących eksperymentalny zespół Maanam Elektryczny Pryszmic. Występował w programach radiowych Macieja Zembatego i myślał o usamodzielnieniu się. Okazja nadarzyła się podczas planowanych koncertów Maanamu we Wrocławiu. Dziwnym trafem dojechał tam tylko John. Skorzystał z pomocy miejscowych instrumentalistów i tak mu przypadli do gustu, że nie chciał się już z nimi rozstać. Po wypełnieniu zobowiązań koncertowych (muzycy związani byli umową z Dwa Plus Jeden) gitarzysta Aleksander Mrożek, basista Kazimierz Cwynar i perkusista Leszek Chalimoniuk mogli rozpocząć turnee koncertowe pod nowym szyldem PORTER BAND. Lidera rozpierała energia twórcza, toteż oprócz rozlicznych występów aktywna grupa nagrała w iście błyskawicznym tempie longplaya „HELICOPTERS", który już w momencie premiery był bestselerem. Płycie towarzyszyła kaseta magnetofonowa z tym samym repertuarem. Oba wydawnictwa mimo dużego nakładu są w tej chwili nieosiągalne, albowiem wielkie zainteresowanie fanów okazywane Porterowi na koncertach dotyczy w równym stopniu jego zapisów dźwiękowych.

Niedawno Porter Band (z nowym perkusistą Wojciechem Morawskim) koncertował w Lublinie, zyskując pełną aprobatę rozentuzjazmowanych słuchaczy. Odnoszę wrażenie, że najbliższa przyszłość rysuje się dla tego zespołu w wielce optymistycznych barwach.

Istvan Grabowski

Nie mam szczęścia do „polskich jesieni"

Dokończenie ze str. 5

politycznego i gospodarczego kraju, w tajeniu niektórych decyzji KC i Biura Politycznego przed masami członków partii. Ten styl pracy z masami partyjnymi udzielał się niższym szczeblom, wytwarzając istotną lukę pomiędzy pracą kierownictwa partii a masami partyjnymi. W tym stanie rzeczy masy partyjne pozbawione były wpływu na życie partii i decyzje jej kierownictwa. W konsekwencji prowadziło to do poważnych błędów w polityce partyjnej...

A więc przez 24 lata nie zrobiliśmy ani kroku? Zastanowiłem się jeszcze raz i jednak znalazłem podstawę do optymizmu. Przecież jednak położyliśmy wtedy kres antyhumanistycznemu reżimowi politycznemu, który praktycznie w Polsce się skończył. Przebieg dramatycznych wydarzeń ubiegłorocznej jesieni stanowi dowód, że w polskim społeczeństwie Człowiek nie zginął, ale wprost przeciwnie — rozwinął się i dojrzał.

1980. Nawarstwione złe obyczaje w zarządzaniu gospodarką państwową są zbyt znane, żebym je charakteryzował. Gorzej, że przy mnogości instytucji kontrolnych gospodarka w kraju przebiegała właściwie bez rzeczowej kontroli, a prasa z którą jestem związany sercem i duszą, w znacznym stopniu sama ograniczała swoje możliwości jako narzędzia społecznej kontroli. Wydarzenia jesienne stworzyły prasie nowe możliwości spełniania funkcji takiego narzędzia. Pomimo absolutnego wypełnienia mojego czasu zadaniami, które sam sobie postawiłem wcześniej, chwyciłem więc za pióro, żeby dopomóc prasie lubelskiej w zajęciu właściwej pozycji. Nawet znalazłem na to sposób, pisząc cykl felietonów traktujących o ważnych problemach życia społeczeństwa, w nawiązaniu do zjawisk leżących bezpośrednio w zasięgu doznań Czytelników. Chciałem w tych felietonach mówić językiem własnym, łatwo zrozumiałym dla odbiorcy. A jednak i ta moja inicjatywa nie zyskała uznania. „Sztandar Ludu" z dużymi oporami opublikował felietony: „50 dywizji dyrektorów" i „Wąchanie rezedy", zaś druk pozostałych wyhamował. Nie zdołały one przebić się również do druku w „Kurierze Lubelskim". Ja zaś, niestety, mogę Czytelnikom jedynie dać słowo, że treść moich zatrzymanych felietonów całkowicie wiązała się z nurtem odnowy społecznej w tym także odnowy społecznych funkcji prasy.

A więc podczas kolejnej „polskiej jesieni" poniosłem jeszcze jedną porażkę osobistą. Co ważniejsze, ta porażka spotkała mnie na gruncie mi najbliższym. Nie tracę jednak ducha i powtarzam sobie za wierszem, że „moje będzie za grobem zwycięstwo". Choćby dlatego, że w żadnym wypadku nie rozwijam swej inicjatywy, by pozyskać cokolwiek dla samego siebie. Natomiast dzisiejszy dojrzały Człowiek zapewne w każdym wypadku doskonale zrozumie, o co mi chodzi i dlaczego nie mogę zrezygnować z szerzenia swych poglądów.

Leszek Siemion

KRONIKA

● Na liście osób, które nie przestrzegały przepisu o 4-letnim rytmie nabywania na talony samochodów osobowych dla celów prywatnych, znalazło się przy końcu grudnia 41 nazwisk kierowników przedsiębiorstw i instytucji administracyjnych, lekarzy, pracowników aparatu partyjnego i naukowców Lubelszczyzny. Niektórzy z nich już po dwóch latach zmieniali samochody. Odpowiedzieć wypadałoby jeszcze na pytanie, czy rozdający talony działali w dobrej wierze, zgodnie z przepisami.

● Kilka dni przed świętami w katedrze lubelskiej odbyły się koncerty symfoniczno-oratoryjne z udziałem orkiestry Filharmonii Lubelskiej, chóru „Echo" i solistów. Wykonano m. in. „Requiem" Mozarta. Koncerty tego rodzaju (w kościołach) mają już u nas pewną tradycję.

● W grudniu chór UMCS występował w Berlinie Zachodnim, rewizytując uniwersyteckie Collegium Musicum, które przebywało w Polsce latem minionego roku. Większość programu stanowiły utwory autorów polskich.

● Cementownie chełmskie ruszą nie wcześniej, jak w lutym. Ogółem (łącznie z zakładem w Rejowcu) potrzebują one dziennie 3250 ton węgla, podczas gdy pierwszy transport tego paliwa, który dotarł do kombinatu po dłuższej przerwie w dostawach, zawierał zaledwie 1000 ton.

● „Banki powinny pełnić rzeczywistą rolę banków w gospodarce narodowej, kontrolować prawidłowość gospodarowania przedsiębiorstw, badać gospodarowanie od strony faktycznych efektów. Bank powinien być bankiem!" — stwierdził w wywiadzie prasowym Władysław Grochowski zast. dyr. Oddziału Woj. NBP w Lublinie. Pochwalamy postulat i informujemy, że jesteśmy też za tym, aby masło było masłem, mleko mlekiem itd.

● Urząd Miejski odzyskał... własny budynek, wzniesiony niegdyś dla Prezydium MRN i okresowo wykorzystywany przez tę instytucję do czasu kolejnej reformy administracji, która ulokowała w obiekcie Wojewódzki Ośrodek Doskonalenia Kadr Administracyjnych. Działo to się w Puławach.

● Zofia Leszczyńska, która od 33 lat pracuje w archiwum Muzeum na Majdanku, opublikowała „Kronikę obozu na Majdanku", w skrupulatnym zapisie przedstawiającą codzienność tej hitlerowskiej katowni.

● W połowie grudnia minionego roku minęło 29 lat działalności Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, kierowanego przez niestrudzonego Wincentego Piątaka. Uruchomienie muzeum, wzniesienie pomnika Prusa, konsekwentne publikowanie biuletynu TRH, zorganizowanie wielu pożytecznych sesji popularnonaukowych oraz plenerów malarskich — to tylko wybrane pozycje z obszernego rejestru osiągnięć Towarzystwa, które jako doprawdy wyjątkowe w regionie działa bez znużenia i stwarza konkretne wartości.

● Warszawska „Zachęta" urządziła dużą wystawę Stanisława Czajkowskiego (1875—1954), ucznia Gersona, a następnie Malczewskiego, Wyczółkowskiego i Meheffera, członka stowarzyszenia artystycznego „Sztuka", w którego cennym dorobku wyróżniają się nastrojowe pejzaże jesienne. A informujemy o tym dlatego, ponieważ malarz często odwiedzał Kazimierz Dolny, malując tam m. in. „Wisłę w Kazimierzu" i „Szabas w Kazimierzu".

● Budynki Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Biura Wystaw Artystycznych oraz Teatru im. J. Osterwy w Lublinie wymagają remontu. Sprawą to znana nie od dziś, ale kto wie, gdzie znaleźć można siedziby zastępcze dla tych ważnych instytucji kulturalnych?

● „Ruch robotniczy w sztuce" i „Polskie krajobrazy w twórczości Kazimierza Wiszniewskiego" to nazwy interesujących wystaw, które czynne są w lubelskim Muzeum Okręgowym.

OKOLICE SZTUKI

NIC NOWEGO

CESARZ Justynian panował w Bizancjum w połowie VI wieku, doprowadzając cesarstwo do szczytu potęgi, co znalazło także swój wyraz w rozkwicie sztuki ówczesnej. To właśnie ten władca wzniósł słynną świątynię św. Zofii w Konstantynopolu, to właśnie w epoce Justyniana powstały świetne mozaiki w budowlach sakralnych Rawenny.

Kiedy to jednak Arabowie mocno zaczęli naciskać na imperium, kiedy w roku 726 Leonowi III Izauryjczykowi ledwo udało się powstrzymać atak wyznawców Mahometa na Konstantynopol, wtedy stosunek państwa bizantyńskiego do sztuki zmienił się zasadniczo. Cesarz nakazał zniszczyć obrazy świętych pańskich i własnoręcznie rozbił posąg Chrystusa przed pałacem. Jego następcy posunęli się jeszcze dalej, prześladując samych malarzy. Jednemu z nich, mnichowi zresztą, spalono ręce, by nie mógł uprawiać niecnego procederu. Cały ruch ikonoklastów miał podłoże skomplikowane, filozoficzno-religijne, ale daje do myślenia fakt, że narodził się w momencie zagrożenia państwa, w okresie wewnętrznego napięcia w obszarze Bizancjum.

Wiele wieków później trybunały rewolucji francuskiej z końca XVIII wieku skazywały na karę śmierci przez ścięcie toporem rzeźby królów z katedr gotyckich, dając ludowi należną satysfakcję. Nie upłynęło sto lat od tych procesów, kiedy Komuna Paryska obaliła napoleońską Kolumnę Vendome, za co później, po upadku tej rewolucji, obciążono odpowiedzialnością wybitnego malarza Goustave'a Courbeta, wsadzając go do więzienia i represjonując w bardziej wyrafinowany sposób, co spotkało się z uznaniem szerokich kręgów burżuazji.

Jeszcze później, bo w 1937 roku, Niemcy hitlerowskie urządziły wystawę objazdową „Sztuki Wynaturzonej", do której zaliczono m. in. dzieła takich artystów europejskiej awangardy, jak Arp, Braque, Cezanne, Chagall, Gauguin, Kandinsky, Leger, Picasso, Van Gogh. Szykujące się do wojny totalitarne państwo więcej zaufania miało do plastyki naturalistycznej i gloryfikującej system polityczny. „Dziwaczną i niezrozumiałą" sztukę awangardy niszczono, lub potajemnie sprzedawano za granicę w celu uzyskania dewiz.

W Polsce do sztuki podchodzono spokojniej, choć już pierwsze rozporządzenie o cenzurze, zredagowane w pełni renesansu, przewidywało najwyższy wymiar kary m. in. za własnowolne wykonywanie obrazów czy grafik o treści niezgodnej z interesem państwa. W czasach nowszych tylko w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych naszego stulecia jednoznacznie określono powinności ideologiczne i państwowotwórcze malarstwa, rzeźby, grafiki oraz architektury, która miała wyrażać wielkość epoki. Instrumentalne traktowanie sztuki wiązało się przecież z sytuacją polityczną kraju, więc powyższy przypadek bez skrupułów można wmontować w system historycznej prawidłowości. Tym bardziej, że przełom październikowy w 1956 roku spowodował zmasowane ataki na plastykę realizmu socjalistycznego ze strony młodych czy okresowo „wyciszonych" środowisk artystycznych. Przy okazji próbowano zaglądnąć do portfeli tych malarzy i rzeźbiarzy, którzy do owego roku zajmowali eksponowane stanowiska, wykonując np. wzierkowe portrety dostojników państwowych, albo też polichromie i sgraffita rynku Starego Miasta w Lublinie, całkiem zresztą udane, utrzymane w stylistyce tej zabytkowej dzielnicy.

Później zapanował jednak pluralizm: w sztuce i polityce kulturalnej. Po październikowym wstrząsie społeczeństwo i państwo doszły do siebie, w byle sklepiku spożywczym można było kupić szynkę i kabanosy bez ograniczeń, a i przemysł przypomniał sobie o potrzebach ludności. W tej sytuacji można było nawet pomyśleć o rozwinięciu szerokiego mecenatu zakładów produkcyjnych nad sztuką. Zainicjowano wielkie plenery w Zielonej Górze, Osiekach, Białowieży, urządzono Biennale Form Przestrzennych w Elblągu (potężnie wsparte przez „Zamech") i I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach — na terenie Zakładów Azotowych.

Ta hossa trwała do połowy 1980 roku, kiedy to w sklepach zabrakło żywności i na jaw wyszły mroczne nadużycia władzy...

I.J.K.

EKRAN I WIDZ

JAK SIĘ BAWIĆ?

ŚWIĄTECZNY program telewizyjny dowiódł w sposób ostateczny, że nasz najbardziej masowy „środek przekazu" wziął całkowity rozbrat z tzw. „masową rozrywką". Chodzi mi, oczywiście, o twórców rozrywki rodzimej — autorów i reżyserów kabaretowych, znanych piosenkarzy, modne grupy muzyczne, których obecność na scenach i estradach krajowych miała kiedyś swoje odbicie również na ekranach telewizyjnych.

Pewnie, cieszy nas nadal (jakże rzadko dający premiery) kabaret Olgi Lipińskiej, kontynuuje działalność (jednakże głównie w oparciu o dawne programy) Kabaret Starszych Panów, bawimy się pomysłami i dowcipami Laskowika. Ale jak mało na telewizyjnej estradzie sił najmłodszych: tancerzy, piosenkarzy, aktorów, z ich widzeniem świata, z ich pojmowaniem sztuki rozrywkowej...

Kiedyś z programami rozrywkowymi w telewizji kojarzyły się przeciętnemu Polakowi nazwiska: Gruzy, Osieckiej, Młynarskiego, braci Zielińskich, Fedorowicza, Kobieli, Łazuki, Pietrzaka, Kotty, a później Jerzego Stuhra i Maryli Rodowicz. Programy, w których występowali, które współtworzyli, nie tylko bawiły publiczność; one także przyczyniały się do powstania pewnej więzi, określonego zrozumienia i „porozumienia" pomiędzy estradą i wielomilionową widownią. Coś z tego zostało jeszcze w krakowskich „Spotkaniach z balladą", choć program ów nigdy nie osiągnął popularności i komunikatywności takiego na przykład „Poznajmy się".

Większość uczestników tamtych dawnych programów stała się już „klasykami" rozrywki, a tymczasem ich następców prawie nie widać. Polska rozrywka w TVP ma dzisiaj wymiar dość nieokreślony. Jest podawana od czasu do czasu, i w znikomych ilościach. W ciągu dwóch świątecznych dni ograniczyła się, na dobrą sprawę, jedynie do „Listy obecności satyryków". Tym razem program poświęcony był w lwiej części twórczości Jana Pietrzaka. Od dawna pomijany przez telewizyjnych szefów (ze względu na zbyt wybujały... satyryczny temperament), Pietrzak nareszcie mógł znowu zaprezentować całą skalę swoich zdolności autorskich, aktorskich i piosenkarskich. Na wszelki wypadek przewidziano jednak jego występ dopiero... tuż przed jedenastą wieczorem, w drugi dzień Świąt, po włoskim westernie „Garść dynamitu", który (wprost przeciwnie do swego „wystrzałowego" tytułu) potrafił dokładnie uśpić większość telewidzów lub zniechęcić ich do dalszego oglądania programu. Zresztą zaprezentowana przez Pietrzaka satyra, choć celna, cięta i nad wyraz kąśliwa, nie tyle bawiła, co raczej skłaniała do smutnych i dość gorzkich refleksji.

Jedynym naprawdę wesołym programem świątecznym — na którym można się było dowoli śmiać, bawić i... rozrywać — były „Muppety z Hollywood", z całym samozaparciem spełniające swoją estradową misję. Czego zarówno naszym artystom jak i kierownictwu programów rozrywkowych w TVP życzy w Nowym Roku 1981 autor niniejszej rubryki.

M. D.

PRASOWANIE NA ZIMNO

ZA KTÓRE LATA?

SYTUACJA w naszym kraju jest dla wielu ludzi fatalna, ale dla felietonistów wprost katastrofalna. Dawniej bez większego ryzyka można było dosolić (oczywiście na łamach) aroganckiemu kelnerowi, dosunąć leniwemu dozorcy, czy dopieprzyć księżniczce kelnerce, a dziś stop! nielzia, są to przecież ludzie pracy i nie wolno ich dręczyć w środkach masowego przekazu podczas pełnienia odpowiedzialnych obowiązków służbowych.

Wszyscy teraz dobrze znają swoje przywileje, z których niegdyś korzystali tylko nieliczni. Może nawet znają je lepiej niż swoje powinności. Ale i ja też swoje znam. Przyrzekam, że dzielić się będę z nieznanymi mi osobiście czytelnikami „Kameny" sprawiedliwie swoimi myślami; wierszówkę natomiast zachowam dla siebie.

Dla ułatwienia operacji finansowych podaję Pani kasjerce numer mojego konta: 47526-19796-170-4. Oddz. II PKO Łódź. W ramach jawności życia gospodarczego konto nie jest zastrzeżone i każdy dowolnie może wpłacać na Centrum Zdrowia Felietonisty, ile tylko zechce. Ja nie oprocentowuję swoich czytelników, traktuję ich bowiem serio; zresztą zawsze wolałem mieć do czynienia z ludźmi mądrzejszymi od siebie.

Ludziom inteligentnym nie trzeba wiele słów, wystarczą im same cyfry i znaki interpunkcyjne, te wszystkie myślniki, pytajniki i zwłaszcza kropki nad „i". Choć — na miejscu cenzora — i tych rzekomo niewinnych znaków bym nie bagatelizował; rewolucja 1905 roku zaczęła się z powodu przecinka: drukarzom przestano płacić właśnie za znaki interpunkcyjne. Pierwsi zastrajkowali linotypiści, a potem już poszła lawinowo. Zresztą rewolucja kulturalna w Chinach zaczęła się od zwykłej recenzji ze sztuki, której treść polegała na tym, że cesarz odwołał ze stanowiska człowieka krytykującego jego cesarską mość. Inne wstrząsy społeczne też zaczynały się od drobiazgów, niestety na drobiazgach się nie kończyły.

Mam nadzieję, że jednak z powodu moich felietonów ziemia w Lubelskiem się nie zatrzęsie. Zresztą u nas ostatnio nikt się drobiazgami nie przejmuje, wszyscy zajęci są odnową. Bardzo skrupulatnie śledzę prasę krajową i nigdzie nie zauważyłem materiałów krytycznych pod adresem personelu gastronomii, handlu czy służb komunalnych. I słusznie, obecnie mamy na tapecie ministrów, wojewodów, dyrektorów, a nawet — o zgrozo — sekretarzy. Polityką kadrową na najwyższym szczeblu zajmuje się cały naród, odwołując ze stanowisk osoby nieudolne, skompromitowane, zdeprawowane, skorumpowane itd. Łatwiej obecnie zmusić do ustąpienia ministra, niż doprowadzić do zwolnienia z pracy starszego omłotowego, który — jak wszyscy wiedzą o tym w okolicy — kradnie paliwo, pije wódkę i nie dba o młockarnię. O ministra nie ma się kto upomnieć, gdyż nie wolno mu należeć do żadnego związku zawodowego, a omłotowego wezmą zaraz w obronę dwa albo trzy związki walczące o dusze. I liczbę członków. Skończyły się dawne dobre czasy, kiedy człowiek wcale nie wiedział, że należy do związków. A należał.

Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że dla osobników piszących felietony i takie inne dyrdymałki obecna sytuacja ma też swoje plusy. Jak teraz piszę prawdę, to się chociaż nie ośmieszam, przedtem miałem obowiązek pisać tylko słusznie. Oczywiście i teraz dziennikarze mogą pisać słusznie, ale boją się zbiorowego zawołania: „Prasa kłamie!". Jeżeli dziewiętnastolatek zarzuca mi, że go przez trzydzieści pięć lat okłamywałem, to ogarnia mnie jakieś dziwne uczucie absurdalności. Trudno mi sobie wyobrazić, że ja, który w prasie pracuję dopiero 20 lat, kogoś, kto ma lat 19, okłamywałem przez 35 lat.

Niefrasobliwi czytelnicy w tym momencie uśmiechają się ironicznie, ale dla mnie jest to poważna sprawa, mój staż w zawodzie wynosi 20 lat i za te lata odpowiadam, ale za pozostałe 15 lat nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności.

Karol Badziak

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

◆ Jak zapowiada się tegoroczny karnawał w Lublinie. Minęła Sylwestrowa Noc, noc, w której ludziska rzucają się w szał zabawy, użycia... lecz by dobrego można było zrobić za pieniądze utopione w szampanie, w winach. W tym roku karnawał zapowiada się niewesoło. Wystarczy powiedzieć, że już Sylwestrowa Noc wypadła blado i chudo. Na Reducie Prasy stoliki w lożach i przy buletach świeciły pustkami. Ludzie nie mają pieniędzy. Jeszcze gorzej zapowiadają się dalsze tygodnie karnawału. Kiedy np. w latach poprzednich najlepsza sala zabawowa Towarzystwa Muzycznego zajęta była na cały karnawał już w grudniu a nawet w listopadzie, to w tym roku w sali Towarzystwa Muzycznego dotychczas zamówione są zaledwie 3 soboty na zabawy. Sale zabawowe mało mają w tym roku amatorów, bo i mało jest takich, którzy wierzą w powodzenie zabawy. Bo jakże zresztą można myśleć o zabawie, kiedy w domu nie ma może nieraz na kawałek chleba, na jakie takie ubranie. Smutny będzie tegoroczny karnawał. Ludzie nie mają pieniędzy. Ciężkie czasy w Polsce dały się wszystkim we znaki. Dziś już źle, a co będzie dalej? Oto pytanie, które płynie z ust do ust.

◆ Poruszana kilkakrotnie na łamach lubelskich pism sprawa organizacji, bądź jeżeli chodzi o miasto Lublin, reorganizacji przemysłu kominiarskiego i wycieru kominów zasługuje na poważne i wszechstronne rozpatrzenie. Dotychczas kominiarze miejscy występowali w charakterze funkcjonariuszy Magistratu z pewną bezwzględnością wobec obywateli miasta. Roboty kominowe wykonywano często w porze gotowania obiadów, przez co przeszkadzano w korzystaniu z palenisk, a nierzadko przez nieoględne i raptowne wpuszczanie wiech do czeluści kominowych zakurzano mieszkania oraz potrawy powodując niejednokrotnie poważne szkody i straty. Skargi i zażalenia kierowane przez poszkodowanych nie przyniosły rezultatów. Znane są nawet wypadki, że kominiarz z zemsty na właścicielu mieszkania lub też z chęci zysku dekował, to znaczy zatykał umyślnie kanały domowe, powodując przez to nieznośne dymienie pieca. Zawezwany do zaradzenia niedomagania, zjawiał się w godzinach pozasłużbowych, usuwał dobrze mu znaną przyczynę, jednak za taką przysługę kazał sobie słono płacić. Ponieważ poza kominiarzem nikt prawie się nie zna na przyczynach powodujących dymienie pieców, przeto udowodnienie mu winy lub złej woli było wprost niemożliwe. Bezpośrednim fachowym zwierzchnikiem kominiarzy był wprawdzie majster kominiarski, jednak był to człowiek w podeszłym wieku, niedołężny, w dodatku kaleka na nogi, który nigdy robót kominiarskich nie kontrolował, a nawet na roboty z kominiarzami nie wychodził.

„Głos Lubelski"

Wybrała: Anna Orzechowska

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.
Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Waldemar Stepień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.
Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—15.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch". Kombinat Wydawniczo - Kolportażowy w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 30731. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-31, sekretarz redakcji 219-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.